

# KAMENIA

LUBLIN

30.IX.1962

Nr 18 (256)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

UWAGA KONKURSI

## O MARKSISTOWSKĄ SYNTEZĘ W NAUKACH SPOŁECZNYCH

LESZEK KASPRZYK

Autor niniejszego artykułu, który zamieszczamy w związku z inauguracją roku akademickiego, docent historii myśli społeczno-politycznej, jest kierownikiem Studium Ekonomicznego w Lublinie.  
Red.

**U**MIEJĘTNOŚĆ syntetycznego ujmowania zjawisk społecznych jest niewątpliwie wielkim darem i zaletą dostępną niewielu tylko pisarzom i teoretykom społecznym.

Synteza z natury rzeczy pomijać musi szczegóły mniej ważne i mniej typowe aspekty zjawisk, a podkreślać to, co wspólne i istotne dla procesów społecznych. Stąd niebezpieczeństwo pewnego splotenia i powierzchniowego ujęcia, na jakie narazony jest każdy historyk, filozof, prawnik czy ekonomista, który postawił sobie ambitne zadanie syntetycznego przedstawienia procesów zachodzących w jakiejś epoce czy też innych zagadnień społecznych.

W dziejach nowożytnych synteza społeczna osiągnęła swój szczyt w wieku XIX. Wówczas to na polu różnych nauk społecznych pojawili się wielcy syntetycy, którzy próbowali ująć zjawiska społeczne z punktu widzenia jakichś powszechnych, obowiązujących całą ludzkość praw dziejowych i podkreślić to, co wspólne dla wszystkich procesów społecznych.

Taką syntezą był niewątpliwie system filozofii pozytywnej Augusta Comte'a, który w swoich trzech stadiach rozwoju myśli ludzkiej próbował dać syntezę obejmującą całość kształt postępu cywilizacji człowieka.

Innym syntetycznym spojrzeniem na świat przyrodniczy i społeczeństwo była koncepcja Hegla, który tworząc swą dialektykę próbował w ramach „triady” zamknąć wszystkie procesy historyczne, społeczne i przyrodnicze. Dialektyka jego jednakże stała w sprzeczności z idealistycznym spojrzeniem na świat i teorią „ducha absolutnego”.

Jeszcze z innego punktu widzenia patrzył na rzeczywistość wielki syntezyk i ewolucjonista angielski — Herbert Spencer, który w swym systemacie filozofii syntetycznej próbował stworzyć całościową teorię rozwoju rzeczywistości w oparciu o powszechne prawo ewolucji, wyłożone przez niego na kilka lat przed Darwinem.

Najpełniejszą jednak syntezą w naukach społecznych, opartą w pełni o naukowe podstawy, stała się teoria ekonomiczna i społeczna stworzona przez Marksa i Engelsa. Twórcy socjalizmu naukowego wykorzystali szeroko w swej koncepcji osiągnięcia nauk przyrodniczych oraz myśli poprzedników w dziedzinie nauk społecznych. Synteza Marksa stanowiła dlatego takie osiągnięcie, że najtrafniej uchwyciła pewne wspólne prawidłowości rozwoju społecznego i wysuwając na plan pierwszy to, co ty-

powe dla społeczeństw różnych epok, nie uległa pokusie zagłębienia się w nieistotne szczegóły i fakty, które, aczkolwiek niejednokrotnie ważne dla szczegółowych badań społecznych, nie mogą wpływać na generalną koncepcję syntetycznie rozumującego badacza.

Jeśli XIX wiek można by nazwać wiekiem wielkich syntez w dziedzinie filozofii, historii, historii myśli społecznej i politycznej, to sytuacja w naukach społecznych zmienia się w tej sprawie poważnie w początkach wieku XX. Rozwój nauk przyrodniczych i pozytywistyczne koncepcje doprowadziły wielu badaczy do tendencji ucieczki od syntezy i przejścia od uogólnień do wielkich analitycznych rozpraw i szczegółowych monografii społecznych.

Odwrot od syntezy w XX wieku idzie w parze z niechęcią do teoretyzowania i ograniczeniem się jedynie do zbierania i grupowania maksymalnych ilości danych i faktów dotyczących życia społecznego i ewentualnego wyciągania wniosków.

W tym czasie w filozofii króluje neopozytywizm; ukazujące się prace naukowe rzadko wykraczają poza czysty opis, autorzy obawiają się przede wszystkim oceniania, uważając, iż wykracza to poza zadanie nauki. Można ogólnie stwierdzić, że w pierwszych dziesięciok lat XX wieku obserwujemy w naukach społecznych, a nawet w literaturze, pewien atomizm polegający na rozdrabnianiu proble-

mów, unikaniu uogólnień, a często — szczególnie w filozofii — na ograniczaniu się do rozważań logicznych i semantycznych. W literaturze pojawiają się dzieła Prousta koncentrujące się na drobniagowych analizach, a w nauce dominuje pogląd: jak więcej faktów i jak najmniej ocen.

Ten okres czystego opisu i pewnego atomizmu w naukach społecznych mamy w zasadzie za sobą. Druga wojna światowa i to co po niej nastąpiło wywołały ponownie potrzebę szerokiego spojrzenia na procesy społeczne i odejście od czystego opisu i monografii. Na nowo powstała potrzeba odrodzenia syntezy w naukach społecznych, gdyż rozwój świata wymaga coraz bardziej całościowego ujęcia, a zatamizowane organizmy społeczne i polityczne łączą się w rozmaite sposoby w drodze integracji. Powstanie zintegrowanego obozu państw socjalistycznych, wspólnota europejska i wreszcie różnego rodzaju ponadpaństwowe organizacje w różnych częściach globu ziemskiego muszą prowadzić do coraz bardziej całościowego spojrzenia na procesy społeczne, polityczne i ekonomiczne, a zatem staje się możliwy i potrzebny renesans syntezy w naukach społecznych, która to synteza — rzecz prosta — nie wyparłaby badań szczegółowych i monografii.

Odrodzenie całościowych tendencji w nauce przybiera dziś dwójakiego rodzaju charakter:

1. Synteza zespołowa — dokonywana przez zespół specjalistów — już od dłuższego czasu zdobyła popularność szczególnie w naukach przyrodniczych. Jeśli idzie o nauki społeczne, to tego rodzaju „agregaty” powstają w drodze współpracy grupy fachowców pracujących nad historią jakiejś epoki, szerokim problemem ekonomicznym itp., i znane są zarówno w

(Dokończenie na str. 8)

## RODZINNE KŁOPOTY

KRYSTYNA PAŁYS

**O**PROĆZ herbu, miasta mają swoje wizytówki. Chełm miał do niedawna swoją Górkę. Zawieszona pod niebem kopuły kościelne patrolowały z niej przez kilka wieków miastu przytulonemu do zbocza.

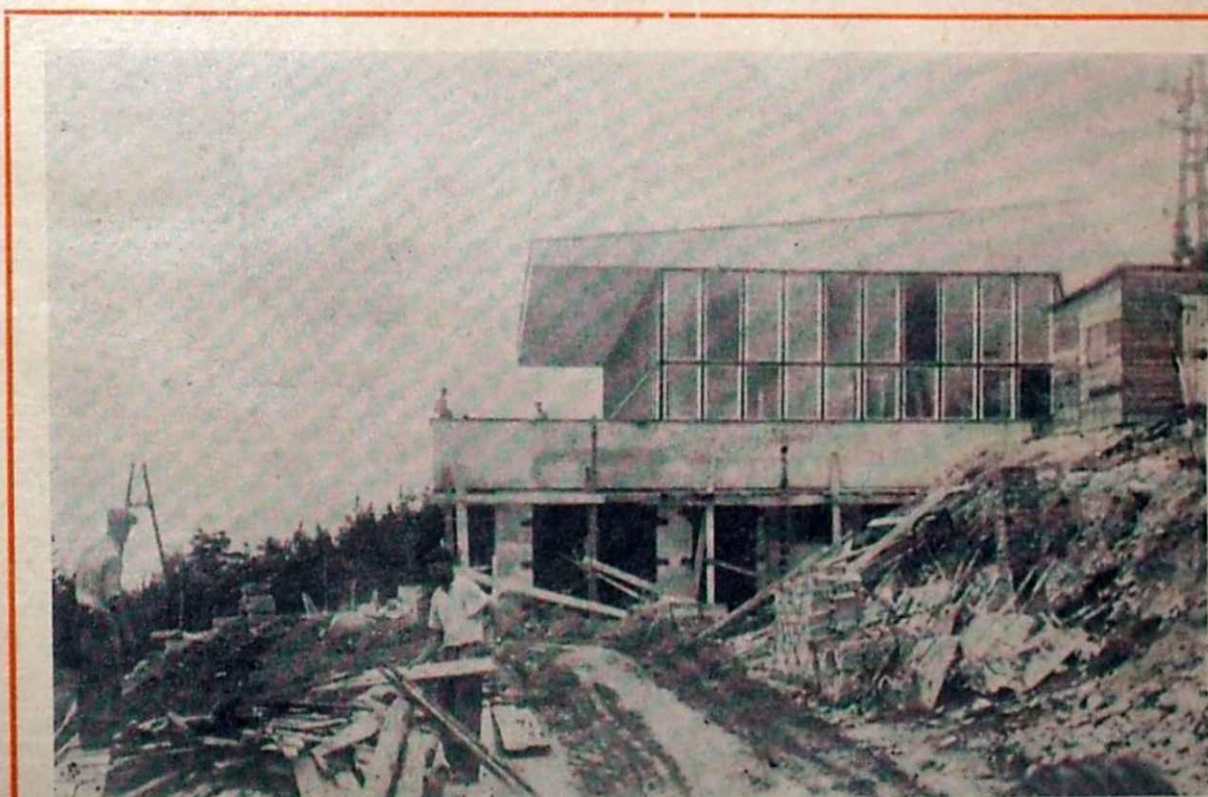
Dziś wśród miasta zaabsorbowanego codziennymi sprawami, mury Górki otacza cisza i pustka, jak każdy relikwiarz przeszłości. Mandat uprawniający do reprezentacji miasta odebrał jej kombinat ulokowany na przeciwnym końcu podłużnego wzgórza. Walące dniami i nocą dymy z kominów cementowni wiatr rozsnuwa białymi wstęgami nad miastem.

Przed trzema laty ówczesny przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej rozsnuwał przede mną wizję Chełma w przyszłości.

— Do cementowni przyjdzie około 6 tysięcy robotników. Licząc przeciętnie po 3 osoby na rodzinę, przybędzie miastu 18 tysięcy nowych mieszkańców. Chełm otrzyma uderzeniowy zastrzyk. 18 tysięcy — to więcej niż połowa dzisiejszego zaludnienia. Górować będzie zatem bardziej dynamiczny element robotniczy. Przystaną nazywać nas miastem emerytów i rzemieślników.

W tych słowach mieściło się sedno zmian w Chełmie, któremu przypadła

(Dokończenie na str. 10)



BUDOWA RZESZOWSKIEJ TELESTACJI NA SUCHEJ GÓRZE  
POD KROSNEM  
(V. str. na str. 9)



# PROFESOR

Autor „Jana Krzysztofa” i „Duszy zaczarowanej” — Romain Rolland napisał kiedyś, że starzec to człowiek, który jest już po obiedzie i przygląda się tylko, jak jedzą inni. Profesora wszyscy studenci nazywali Dziadkiem, ale nikomu na myśl nie przyszłoby nazwać go starcem. Mimo sędziwego wieku, zawsze był młodzieńczo rześki i młodzieńczo aktywny. Do końca życia nie pozwolił sobie na luksus, jaki stwarza wygodna pozycja obserwatora zdarzeń. Był zawsze uczestnikiem tego, co się działo wokół, uczestnikiem aktywnym, pełnym inicjatywy i cennego doświadczenia. Był człowiekiem, którego interesowało wszystko. Poza biologią i biochemią, pasjonowała go historia, a szczególnie wszystko związane z historią Podlasia. Interesował się techniką i literaturą. Prawdziwą jego pasją była turystyka. Ten wspaniały człowiek imponował wszystkim szerokim kręgiem zainteresowań i doskonałą gospodarką czasem, która pozwalała Mu wszystkie owe zainteresowania pogłębiać i rozwijać.

Był człowiekiem skromnym. Nie znosił pompy i patosu. Niech więc i to wspomnienie dziennikarza o Profesorze będzie bez patosu. Zanotowałem w nim wrażenia ze spotkań z uczonym, Jego własne opowiadania, piszę o Jego zwyczajach. Chciałbym choć w części pokazać człowieka, którego sympatią miałem zaszczyt się cieszyć i chlubić.

Profesor nie lubił oficjalnych wywiadów prasowych. Nigdy natomiast nie odmawiał udostępnienia bogatych swoich zbiorów książek ze wszystkich dziedzin. Potrafił długie godziny swego cennego czasu przeznaczyć na rozmowy z ludźmi, których darzył sympatią. Nazywało się to pogawędką przy herbatce. Kapitan Kosztyla, zamierzony historyk, opowiadał mi, że pomoc Profesora w jego badaniach była niekiedy wprost żenująca. Wystarczyło napomknąć o trudnościach w zdobyciu jakiejś źródłowej książki, Profesor z całą właściwą sobie energią pomagał szukać. Pisał do znajomych, do kolegów na innych uczelniach, a potem triumfalnie wręczał poszukiwane dzieło, mówiąc: „Masz i nie narzekaj”.

Uczynność Profesora była zdumiewająca. Studencki budżet jest zawsze kusi. Profesor wiedział o tym doskonale. Na tym tle miał siłą do pożyczania pieniędzy studentom. Ceremonia pożyczki była krótka i podobna.

— Masz tu, kochany parę złotych. Pożyczam. Wiem, że ci są potrzebne. Kiedy będziesz mógł oddać?

Tu dłużnik wymieniał termin. Jeśli go dotrzymywał — Profesor po prostu umarzał dług. Mówił wtedy: „Solidny chłop jesteś. Prosiłeś mnie o pożyczkę. Teraz ja ciebie proszę, weź te pieniądze w nagrodę. Nic nie gadaj. Ja nie zbiednieję. Tobie na pewno się przyda”. Nie było apelacji od takiej prośby. Ale nie było też żadnego wyrozumienia dla niepunktualnych. Nie tylko dłużników zresztą. Ktoś umówiony na profesorską herbatę mógł zająć gospodarzowi cały wieczór, ale kiedy się spóźnił na umówiony termin, nie poświęcił mu Profesor ani minuty. „Nie ma mnie” — mówił i zamykał drzwi.

Zainteresowanie dla techniki to była, obok turystyki, bibliofilstwa, historii, cicha pasja Profesora. Kiedyś zbierając materiał do artykułu u Profesora posługiwalem się miniaturowym magnetofonem. Zanim przystąpiłem do nagrywania, trzeba było pokazać to „małe чудо” od podszewki. Rezultat był taki, że zagapiłem się, że nałożyłem taśmę. Z nagrania nie wyszło nic. Zbladłem, kiedy się dopatrzyłem, że „culo” nie nie zapisało. Profesor nie zniecierpliwiał się ani na moment. Przeciwnie. Skrzyczał mnie za to, że ja się takim głupstwem przejmuję.

— Puszczaj, redaktorze, jeszcze raz. Ja wszystko powtórzę. Technika robi kawały, a ty się zaraz denerwujesz. Kto to słyszał?

Profesor w stosunku do studentów był wymagający. Nigdy surowy. Egzamin u Niego był trudny, bo nie znosił



Profesor Akademii Medycznej im. J. Marchlewskiego w Białymstoku, Dr Witold Sławiński

lenistwa i „książkowej mądrości”. Egzaminował wszędzie. W domu, w gabinecie, w zakładzie, na wycieczce, w terenie, który badał, a nawet w... pociągu. Tłumaczył to tym, że ma mało czasu. Reczywiście, zawsze narzekał na krótkość doby. Przy egzaminie w pociągu obowiązywała zasada, że ten, kto nic nie umie, za bilet płaci sam. Za dobrze zdających często koszt przejazdu pokrywał Profesor.

Supraśl, Królowy Most, okolice jeziora Hańcza — to miejscowości, w których się kochał. Wszystkie były zresztą rejonem Jego niezwykle cennych badań naukowych. Jego zasługą jest odkrycie i zbadanie złóż borowinowych w pobliżu Michałowa. Jego prace nad torfowiskami w dolinie rzeki Supraśl stanowią nie tylko cenny materiał naukowy, ale przyniosą duże korzyści na torfiastych zespołach łąk. Jego prace o mineralnym nawożeniu łąk oceniła wysoko praktyka rolnicza. Kochał się szczególnie w krajobrazie okolic Supraśla i Królowego Mostu. Mówił mi kiedyś:

— Powiadają — Paryż śliczny a tam brudno. Mówią — Rzym wspaniały — a tam, panie, smród. Przyjeżdżaj pan do Królowego Mostu, do Supraśla. Tam jest pięknie. To ja kocham, a nie co innego...

Wiesz, kochany redaktorze — powiedział kiedyś. Ja też byłem dziennikarzem. Jeszcze za cara. Studiowa-

łem wtedy i wydawaliśmy z kolegami nielegalne pismo socjaldemokratyczne. Na owe czasy było nawet rewolucyjne. W każdym razie groził za nie Sybir, albo parę lat tury. Ale myśmy się dobrze zakonspirowali. Redakcja była w domu gubernatora — mego wuja. Policja szukała wszędzie, ale nie tu, bo nikt nie przypuszczał nawet... Dopiero wuj sam nas nakrył. Jaki był to był, ale człowiek był dobry. Powiedział, pamiętam, że nam zażyczył. Burzyielskie myśli, rewolucyjne zapędy — powiada — to przywilej młodych. Ja już jestem stary, bo nie mogę być z wami. Powiedziałem mu, że nikt nie karze mu się starać! Wiesz, co zrobił? Dał 100 rubli na tę gazetę... Ale wszystko jedno się starzał. Bo tu nie w wieku rzecz. Burzyielskim i rewolucjonistą trzeba być zawsze, zawsze czegoś chcieć, o coś zabiegać, poprawiać świat.

Czy to zależy od wieku? Sam widzisz. Iu twoich rówieśników (mogli być moimi wnukami), to ciepłe kluski. Nie lubię takich i już!

Napisał blisko 90 prac naukowych, setki artykułów prasowych, działał w kilkunastu towarzystwach. Wszędzie o coś zabiegał, coś zmieniał, o coś walczył, z czymś się nie zgadzał. Nie zestarzał się nigdy. Profesor doktor inżynier Witold Sławiński zostanie zawsze młody i pełen zapału w pamięci tych, którzy Go znali.

Franciszek Lewicki

## „SIT SALUS INTRANTI”

ZBIGNIEW UCHNAST

**K**RASNOSTAWSKIE Muzeum Regionalne jest dość pomysłowo zakonspirowane. Przy ul. Nocznickiego na kościelnym parkanie wisi tablica z odpowiednim napisem i strzałką wskazującą drogę do Muzeum. Potem idzie się przez obszerny, brukowany „kocimi łbami” kościelny plac, by następnie zanurzyć się w chłodną bramę do tzw. „starych koszar”. Stąd wydołujemy się na niewielki dziedzińiec i kierujemy swe kroki do przeciwległego jego rogu, gdzie jest wejście do budynku. Tam już tylko jeden korytarz, jedna sień, schody na I piętro i nareszcie wejście do Muzeum. To prawdziwie muzealne ułożenie zostało zapewne spowodowane wyjątkowo krytyczną sytuacją lokalową w mieście. Ono to również rzekomo sprawowało, iż na przydział drugiej sali Muzeum musiało czekać długimi miesiącami. Dotychczasowe pomieszczenie było za szcuple na tak dużą ilość eksponatów (m. in. nie było gdzie zrekonstruować odkopanego niedawno grobowca sprzed ok. 4000 lat). Wreszcie w lutym br., dzięki staraniom przewodniczącej MRN, ob. Czesławy Mazur, Muzeum otrzymało dwie nowe sale, które gruntownie wyremontowano również za sprawą ob. Mazur, zaś przewodniczącej PPRN, ob. W. Moskaluk wyasygnowała kwotę 100 tysięcy zł na luźno eksponatów.

„Sit salus intranti...” (pozdrowienie wchodzącemu). Ten stary zwrot, wryty na modrzewiowym sosenie pochodzącym z domu Szymonowicza w Cierńce, wita dzisiaj każdego wchodzącego do Muzeum. Kameralny półmrok obszernej sali w jakis spo-

sób harmonizuje z otoczeniem. Ekspozycje opowiadają swą historię ustami kierownika Muzeum prof. Zygmunta Tokarzewskiego, który jest całą duszą oddany tej placówce, dla którego praktycznie nie istnieją określone godziny pracy. Jeśli nie przebywa w Muzeum, to bez wytchnienia jeździ lub chodzi po całym powiecie razem ze swym młodym współpracownikiem Władysławem Fedorowiczem w poszukiwaniu „zdobyczy” dla muzeum.

17-letni Fedorowicz — to do niedawna uczeń miejscowej SPZ (dział handlowy); dalsze jego plany — to średnie wykształcenie, no i — historia. Specjalnością młodzieńca jest numizmatyka.

Trzecim pracownikiem Muzeum jest ob. Moskalukowa.

Zbiory numizmatyczne Muzeum to 846 monet z różnych czasów. M. in. jest 13 monet z wizerunkami trzynastu królów polskich; kierownictwo Muzeum ogłosiło konkurs z nagrodami pod hasłem „Szukamy czternastego króla”. Dział archeologii — to jedna z nowych sal. Z około siedemdziesięciu eksponatów na szczególną uwagę zasługują urny z okresu kultury amfor kulistych, znalezione w grobowcu sprzed 4000 lat, odkopanym w Lopienniku Dolnym, oraz młot-siekiera wagi 2,85 kg, wyorany we wsi Zabno.

W dziale sztuki widnieje m. in. pochodzący z r. 1898 obraz I. C. Moniuszki: Król Stanisław August w Petersburgu po abdykacji. Obraz pochodzi z majątku Pilaszki. Był przechowywany przez 16 lat u mieszkanicy tej miejscowości p. Brusowej, aż trafił

HELENA PLATTA

## Warszawski urzeseń

Jakże ci to przypomnieć latarnio  
latarnio na Kanonii  
bez światła  
— szkielecie żelazny  
że astry na chodniku płomykiem  
[u stop —  
Zorawie] —

tyunki dawno spadły  
skruszały kul pieczęcie  
a nisko, pod murem  
beziemienny grób?

Bo pamiętam z dzieciństwa  
listopad w Warszawie:  
— czerwieniali w Łazienkach liście,  
liści struga.

I szedł ścieżkami powiew,  
drżała błękitność w stawie —  
i — Andrzej Strug

i Staff  
— na Mazowieckiej — Tuwim.

Strącał czas lat dwudziestych  
kasztany wśród alej —  
labędź Zuzanny Rabskiej  
[snul nenufarów protest  
i lata trudne fałą  
gołębie.

— na Powązkach — grób Ojca  
znicz pamięci się palił.

A powroty?  
— Powroty, gdy spalona i czarna,  
gdy zryta pociskami,  
zrównana z ziemią —  
i oto płomień grzeje  
— ty świecisz latarnio  
— Warszawa, co krwią żywą  
pisała swe dzieje...

Sierpień, 1962 r.

do Muzeum. Obrazów i reprodukcji jest więcej. Kilka z nich ma ten sam motyw — Zamek w Krasnymstawie, jednak wszystkie one znacznie się różnią od siebie. Ponieważ Krasnostaw Zamek już nie posiada, więc nie wiadomo, który widok jest autentyczny. Do roku 1959 znano tu dwie zasadniczo fałszywe podobizny Krasnostawu i na temat ich prawdziwości od dawna istniał spór. Falszyfikatorami z dużym powodzeniem Adam Rębowicz w „Kronice Powiatu Zamojskiego” z 1918 r. Obecnie tutejsze Muzeum dysponuje fotografią obrazu Zygmunta Vogla z Muzeum Narodowego w Warszawie, która według znawców, najwierniej odtwarza widok krasnostawskiego zamku w 1811 r.

Oprócz wspomnianych etatowych pracowników, Muzeum posiada także grupę stałych pracowników-amatorów z miasta, od których pochodzi poważna część zbiorów. Są to ludzie różnych zawodów i środowisk, którym leży na sercu sprawa kultury swojego miasta. Do najaktywniejszych należą: prokurator J. Pankowski, lekarz-dentysta T. Mikulska, nauczyciel ZSZ Stefan Zelisko, tow. Jankowski — sekretarz KP PZPR, E. Bazyłko, Z. Majewski, Stefan Górcen, R. Piwowarski.

Ciekawe, że p. Tokarzewski potrafił zainteresować swoją pasją i odległe nierzawki. Teraz gospodarz, wyrosły jakiś starodawny przedmiot niszczy go i nie chowa dla siebie, lecz przynosi znaleźć do Muzeum: — „Może i to się przyda?” — Sa nawet stał współpracownicy wiejscy, jak np. J. Roman z Ostrzycy, J. Medrak — mieszkaniec wsi Kozienice, a także T. Kurek z Romanowa i Cz. Chybowski z tej samej wsi.

W ogóle wśród eksponatów przeważają dary wsi. Czarna rogatywka „właśnie” krasnostawska, bo chociaż w sąsiednim powiecie bilgorajskim też ongi noszono podobne — różni się od tamtych jakimś szczegółem. Natomiast słomiany kapeluszek jest tylko krasnostawski. To samo dotyczy i kompletnego zgrzebnego ubioru dawnego gospodarza tutejszej wioski i narzędzi jego pracy. Czolo ich stanowi drewniany pług oraz cały szereg innych drobniejszych przedmiotów, na podstawie których można szczegółowo odtworzyć minione życie tych okolic.

Właściwy teren działalności tutejszego Muzeum jest określony granicami powiatu. Toteż fakt zabrania ciekawym z kaplicy cmentarnej w Zdanem (powiat krasnostawski) obrazów, będących niegdyś własnością hr. Smorczewskich i umieszczenie ich w Muzeum Chelmskim, wywołał gwałtowny sprzeciw kierownictwa Państwowego Muzeum Regionalnego. Posypały się pisma, sprawa oparła się o Lublin.

Miejmy nadzieję, iż ostatecznie kierownictwo Muzeum w Chelmie zabada i załatwi tę sprawę.



**D**AR rozległej, dokładnej i umiejętności obserwacji jest wybitną cechą umysłu Prusa. Realizm obserwacji ma jakby dwa oblicza: jedno — zewnętrzne, grupuje, określa zewnętrzną rzeczywistość, drugie — okiem wewnętrznym — sięga do głębin wszechrzeczy, do immanentnej istoty ich treści w sposób samodzielnobadawczy.

Poczucie rzeczywistości nie jest dla Prusa tylko konstataowaniem faktów, lecz także dążnością do zbudowania światopoglądu, zgodnego z faktami realnymi, przez oglądanie przedmiotów i zjawisk z wewnętrznej perspektywy. Dlatego realizm obserwacji Prusa, będąc dokładnym, jest jednocześnie artystycznym — w swym sui generis nastawieniu się wobec świata rzeczy, zdarzeń, faktów istniejących, mogących istnieć i mogących się dokonywać. Dlatego w polu jego obserwacji znajdować się mogą nie tylko rzeczy i fakty namacalne, dotykalne, lecz również i te, które zazwyczaj noszą miano oderwanych, abstrakcyjnych. Słowem, realizm Prusa nie jest naturalizmem ani jednostronnym patrzeniem na świat, lecz harmonijnym, dokonany drogą abstrakcji intelektualnej, skonstruowaniem wyobrażenia rzeczywistości.

Harmonijny realizm pozwala mu wdrzeć się zarówno w poznanie życia materii, jak i ducha, wyrazić jednolicie wewnętrzną zjawisk, pozornie nie mających ze sobą nic wspólnego.

Harmonijny realizm pozwala mu zespolic widzialność z niewidzialnością i wykazać, iż niewidzialność jest tak samo rzeczywistością konkretną świata, tylko umysłowi człowieka nie dająca się od razu pochwycić, wydobyc. Nie ma więc w harmonijnym realizmie Prusa dwu światów, lecz jeden, człowiek zaś musi zdobyć umiejętność wchłonięcia go w siebie i przeżycia za pomocą sztuki.

Harmonijny realizm Prusa, oparty na oglądaniu każdej rzeczy z kilku stron, ujmuje jednolicie współzycie człowieka z materią, widzialność z niewidzialnością, narzuca mu konieczność spoglądania na świat spoza niego, bez konieczności wychodzenia zeń. Realizm taki dlatego jest jakby sfilutowaniem różnorodnej rzeczywistości w jednolite życie tego, co nazywamy żywym, z tym, co nazywamy nieorganicznym.

Z tego rodzaju ujęcia rzeczywistości w jej artystycznym wyrażeniu u Prusa wynika piękno. Jeżeli następnie weźmiemy pod uwagę, że koniecznym przejawem życia jest ruch widzialny lub niewidzialny dla człowieka, że abstrakcją treści ruchu jest stosunek człowieka do przyrody, że, jak mówi Irzykowski<sup>1</sup>, nie ma ruchu bez treści, to można stwierdzić, iż światopogląd Prusa opiera się na ujęciu życia świata rzeczy, a więc świata ruchu. Naturalnie nie chodzi tu o filozoficzne pojęcie tego terminu, tylko o codzienne ujęcie go jako zmienności w czasie.

Wchłonięcie w siebie, przeżycie tego jednolicie zaobserwowanego świata, jak już wspominałem, dać może sztuka. Ponieważ opiera się ona zawsze na wyobraźni artystycznej, przeto narzuca się zagadnienie, za pomocą jakiej wyobraźni osiągnął Prus swój światopogląd artystyczny na ów jednolicie pojmowany świat rzeczy-życia.

Wyobraźnia Prusa nie jest plastyczna w znaczeniu malarskim. Stwierdził to i osądził Bystron<sup>2</sup> w swym studium, poświęconym specjalnie temu zagadnieniu<sup>3</sup>. Zygmunt Waślewski w książce pt. *Współczesni*<sup>4</sup> zgadza się z nim pod tym względem, lecz nie przyjmuje wniosków, iż wyobraźnia Prusa nie jest artystyczna, że wielkość swą pisarz zawdzięcza nie talentowi artystycznemu, lecz wyłącznie czynnikom moralno-intelektualnym.

Wnioski Bystronia, według Waślewskiego, nie odpowiadają prostemu faktowi, że dzieła Prusa... działają na zmysł piękna, a więc spełniają przeznaczenie dzieła sztuki. Jest faktem, że dzieła jego dają wysokie zadowolenie estetyczne i dlatego są cenne. Nie tracą z biegiem czasu na wartości (co jest problemem wartości artystycznej), dają się czytać po wielokroć, zawsze robią wrażenie i to silne<sup>5</sup>. „Czas wypalił z dzieł Prusa wszystko niemal, co w nich było publicznie użyteczne lub filozoficznie dziwaczne, a jednak dzieła trzymają się. I tylko swoją wartością

artystyczną... Chodzi tu o znalezienie dla niego miary”<sup>6</sup>.

Miary, jaką się przykłada do twórców o wyobraźni malarskiej, stosować więc względem Prusa nie można i nie należy. Są przecież różne gatunki wyobraźni artystyczno-poetyckiej: jedni artyści posługują się materiałem wzrokowym, inni słuchowym, węchowym, jeszcze inni widzą wszystko w ruchu. Jedni przedstawiają typ wyobraźni artystycznej subiektywnej, inni — obiektywnej. Prus należy do pierwszych, którzy traktują „material” przestrzeniowy jako środek do życia przy malowaniu obrazów subiektywnych ducha”<sup>7</sup>.

wynik tego typowego ujmowania rzeczy w dłuższej perspektywie czasu szybko pędzącego życia. Z tego również powodu nawet postaci powieściowe Prusa są nacechowane gorączkowym pragnieniem ruchu-czynu, który jest rezultatem zetknięcia się psychiki z materią. Postaci bezczynnych niemal nie spotyka się w dziełach Prusa, a jeżeli są, to wtedy wyobraźnia ich tworzy potężny ruch myślowy, np. Dębicki w *Emancypantkach*.

Jeżeli teraz, idąc za Irzykowskim<sup>8</sup> stwierdzimy, iż film jako nowa sztuka jest widzialnością niewidzialności, myślą w ruchu, przesiąkniętą przez

dla Prusa, gdy chodzi o nowelę, prowadzą do wniosku, iż np. *Dziwna historia* jest wyrazem wyobraźni ruchowej, utworem nadającym się do filmu.

Skoro zatem już w nowelach z różnych okresów twórczości Prusa występuje ten przejaw filmowości i w dodatku w sposób różnorodny (inaczej w *Anielce*, inaczej w *Dziwny historii*), to w *Faraonie* właściwie tę znajdziemy w większym natężeniu i rozpiętości.

Fabula *Faraona* to dzieje Ramzesa XIII, dzieje pełne ustawicznego ruchu, stałej prężności do czynu. Młody Faraon sam jest gorączkowym, niemal chorobliwym pragnieniem ruchu. Żywot jego jest pieśnią życia-ruchu. Ruch sam przez się jest niczym, wagi i sensu nabiera dopiero jako świadek walki. Pragniemy, żeby ten świadek opowiadał lub zmyślał cuda — pisze Irzykowski<sup>9</sup>. Otóż takie cuda zmyśla fabula *Faraona*.

Schematyzność w kompozycji powieści odpowiada znowu schematyzności wymagań filmu. Nie trzeba chyba tej cechy *Faraona* dowodzić, bo przez wszystkich niemal badaczy Prusa jest ona stwierdzona.

Wśród tysięcy scen, przesuwałych się z zawrotną szybkością przed naszymi oczyma, niektóre robią wrażenie, jakby się nimi autor delectował i pieścił z premedytacją; są to tzw. sceny wytrzymałe, mające w swym niyb-spoкою uderzające podobieństwo do analogicznych scen filmowych. Do takich scen zaliczyć by można modlitwę Psujaczka, zaklęcia tyfonu przez kapłana Pentuera na pustyni libijskiej, odpoczynek następujący tronu w obliczu sfinksa i wiele innych.

Sceny wytrzymałe nie przeszkadzają rozwijać się zasadniczej idei filmowej *Faraona*, tj. ciągłego ruchu — czynów Ramzesa XIII, którego widziemy w coraz to innych okolicznościach, zawsze usiłującego wyzyskać je czynnie do swych celów. Ideą literacką *Faraona* jest również dążność do osiągnięcia władzy dla użytkowania jej następnie ku uszczęśliwieniu ludu.

Idea więc literacka pokrywa się z filmową. Momenty najważniejszej treści filmowej zespala ją się z momentami najważniejszej treści literackiej dzieła — fakt, który stanowi czynnik decydujący o filmowości *Faraona*.

Mamy więc: manewry wojskowe — młody książę zdobywa część władzy; podróż następująca po Egipcie — idea walki o polepszenie doli chłopów; przyjęcie poselstwa asyryjskiego — idea uniezależnienia państwa od obcych wpływów; kapłan Samentu w Labiryncie — idea opanowania skarbow kapłańskich w celu zniszczenia ich potęgi w państwie; walka przy świątyniach z kapłanami — moment decydujący dla ziszczenia się idei Ramzesa. Przykładów takich można by wliczyć setki. Następnie fakt, że akcja powieści dzieje się w warunkach egzotycznych, powiększa tylko jej filmową wartość. Ideowość tego historycznego dzieła — filmowa i literacka — powoduje ciekawość, coraz większe napięcie uwagi i wywołuje ostatecznie to, co każde dzieło prawdziwej sztuki: wzruszenie.

Na połączenie się w jedno tych trzech czynników znakomicie wpływa sposób opisywania Prusa. Zazwyczaj opisy w *Faraonie* są rysunkiem w ruchu.

Do najbardziej charakterystycznych należy opis Egiptu (a więc krajobraz), widzianego przez faraona-starcę w czarnej kuli kapłana chaldejskiego, Bercesa. Mamy tu i owo patrzenie z góry z lotu ptaka, i cudowność wyni-

Dokończenie na str. 13)

## RZECZ O WYOBRAŹNI PRUSA

Pięćdziesiątą rocznicę zgonu Bolesława Prusa uczciło społeczeństwo setkami imprez w stolicy i w całym kraju. Pośmiertna sława Prusa pogłębia się i rozszerza wśród milionowych już odbiorców jego dzieł w Polsce i za granicą. Świadczą o tym wzrastające nakłady jego nowel i powieści w polskich wydawnictwach oraz w przekładach na języki obce. Do najbardziej atrakcyjnych form ukazania cywilizowanemu światu arcydzieła Prusa należy ekranizacja „Faraona”, podjęta przez kinematografię polską wspólnie z paryską firmą „Franco-London-Film”. Reżyser Jerzy Kawalerowicz i operator Jerzy Wójcik będą poszukiwali wraz z dekoratorami francuskimi i włoskimi najodpowiedniejszych miejsc do zdjęć plenerowych w Maroko, Jugosławii i Egipcie. Polskiej reżyser oświadczył przedstawicielom PAP, iż „chce odejść od szablonu „superfilmów”, a będzie się starał przede wszystkim przekazać widzom te wartości intelektualne i moralne, jakie kryje w sobie piękna powieść Prusa („Życie Warszawy”, 15, 15/VII 1962, Nr 167).

Nawiązując do tego oświadczenia, redakcja „Kamery” przypomina szkic Feliksa Araszkiewicza pt. „Faraon w świetle jupiterów”, drukowany po raz

pierwszy jeszcze w 1926 r. W szkicu tym autor określa charakter wyobraźni artystycznej Prusa i wykazuje walory filmowe wielu jego utworów, a w szczególności „Faraona”. W okresie międzywojennym próbował Araszkiewicz zainteresować sfilmowaniem „Faraona” firmy kinematograficzne polskie i amerykańskie, bezskutecznie jednak z powodu małych fundusów ówczesnych firm polskich i słabej orientacji o wartościach filmowych „Faraona” u firm amerykańskich. Dzisiaj, gdy państwowa kinematografia polska podejmuje wielkie dzieło sztuki filmowej w ścisłej współpracy ze znakomitą kinematografią francuską w oparciu o autentyczne plenery afrykańskie, pragniemy przyczynić się przypomnieniem szkicu Araszkiewicza do realizacji ambitnego zadania z uwzględnieniem wyników naukowych badań nad wyobraźnią artystyczną Prusa i płynących stąd konsekwencji pojmowania filmowości „Faraona”. Oby myśl rzucana przed 36 laty została wreszcie z pożytkiem dla kultury polskiej zmaterializowana w filmie wykonanym przez zjednoczone siły artystyczne polskie i francuskie dla milionów widzów Wschodu i Zachodu.

Redakcja Kamery

Wobec oczywistej trwałości artystycznej dzieł Prusa, wobec dowiedzionego i uznanego braku plastyczności w wyobraźni tego poety, nie pozostaje nic innego, jak dążyć do znalezienia owej miary dla poznania czym, w jaki sposób Prus wrażenie artystyczne osiąga.

Światopogląd artystyczny Prusa, widzenie świata-życia w ruchu, schodzi się harmonijnie z charakterem jego wyobraźni, której podstawą jest ruchowość i rysunek, linia-kształt. W wyobraźni Prusa świat cały żyje, zmienia się w czasie, jest przesiąknięty psychiką ludzką. Ponieważ współzycie człowieka z materią rodzi ruch, przeto wyobraźnia Prusa ten ruch chwytą, przede wszystkim stwarza owo, jak mówi Irzykowski, krótkie spicie widzialności.

Niektóre przykłady opisów Prusa, podane przez Bystronia jako dowód braku plastyki, są właśnie jakby wybrane dla stwierdzenia charakteru ruchowego wyobraźni pisarza.

Weźmy chociaż sen studenta, wizję gorączkową, o której Bystron mówi, że „czegóż podobnego naszkicować niepodobna; sam ten tłum ludzi nadaje się do przedstawienia w szeregu kolejno się zmieniających obrazów” (podkreślenie moje). Gdzie indziej znowu powiada, że Prus nie umie objąć całości obrazów, daje więc w częściach ze zmianą w czasie, w kolejnym następstwie, zatem w ruchu. Często posługuje się Prus opisami, widzianymi jakby oczyma lotnika lub ptaka, lub człowieka będącego w ruchu. Jednocześnie opisy te, pozbawione barwności, mają wybitny charakter rysunkowy. Bystron nazywa ten sposób opisu — jakby z samolotu przez lotnika — klasycznym dla Prusa. Rzeczywiście, jest to typowy sposób patrzenia autora *Faraona*, wynikający z ruchowo-rysunkowego charakteru jego wyobraźni.

Skutkiem ruchowego ujęcia rzeczy i zjawisk przez wyobraźnię Prusa dzieła jego posiadają często schematyzność, czasem nawet można odczuć jakby pewne skoki i przerwy między opisywanymi scenami. Schematyzność silniej się zarysowuje w większych powieściach; jest to naturalny

psychikę materialnością, ruchem-życiem, sztuką, w której wypadki są schematyczne, ale przez to zdolną bardziej przystosować się do skoków wyobraźni, jeżeli śmierć, miłość, zysk, poświęcenie się są najzwyczajniejszymi sposobami, aby filmowej formie nadawać siłę motoryczną, to, zestawiając te zasadnicze wymagania sztuki filmowej z kinetycznym światopoglądem i wyobraźnią ruchoworysunkową Prusa, można zastanowić się nad zagadnieniem filmowości *Faraona*, przez to nad potrzebą sfilmowania tego dzieła, najbardziej typowego dla jego wyobraźni artystycznej.

Już cały szereg nowel, czy to w całości czy we fragmentach nosi charakter wyraźnie filmowy; wystarczy przytoczyć *Ze wspomnień cyklisty*, *Nowy Rok* a przede wszystkim *Dziwną historię*.

Nawet w noweli *Sen*, tak charakterystycznej ze względu na filozofię praktyczną Prusa, znajdują się fragmenty, będące wyrazem wyobraźni ruchowo-rysunkowej; to samo dąłoby się powiedzieć o *Anielce*, *Pominiętym*, a choćby o *Panu Dutkowskim*.

Irzykowskiemu, piszącemu rzecz o filmie, z przedziwną wnikliwością narzuciła się asocjacja niektórych rodzajów filmu do nowel Prusa<sup>10</sup>. Także wywody Bystronia, dotyczące charakterystycznych, jak mówi, pomysłów





**S**PRAWY historii i bilans wieków przeszłych, wyznać to trzeba, były od nas wówczas całkowicie odległe, gdy bezpośrednio po wyzwoleniu, w wyniku wiekopomnych współczesnych wydarzeń historycznych gorątkowo oczekiwaliśmy, by ruszyła z produkcją całkowicie zniszczona Sanocka Fabryka Wagonów. Fabryka, ze swoją bojową, oddaną załogą, stanęła do odbudowy wbrew zgłiszczom i dewastacji, zdawałoby się nieodwracalnej.

Gdzieś z wiosną 1946 roku składaliśmy w Sanoku gratulacje i życzenia dalszych sukcesów w pierwszej odbudowanej hall, której dzisiaj zresztą na darmo już szukałam w ogromnej fabryce, jednej z większych tego rodzaju w Europie.

Nie chciałabym oczywiście twierdząc w ten sposób wchodzić w jakąkolwiek kolizję z Klio, która na temat Sanoka szczególnie dużo ma do powiedzenia, a poprzez usta zagorzałych miłośników sanockiego grodu wyraża jeszcze przekonanie, iż osiem wieków należało tutaj „odmierzyć” wcześniej, gdyż pierwsze zapisy dotyczące Sanoka datują się od roku 1150. Miejscowi historycy wiele też cytują dokumentów świadczących o związkach Władysława Jagiełły z tym nadzańskim grodem, przy czym nie brak i anegdot do dziś zachowanych, a dotyczących „sanockiego” mariażu Władysława Jagiełły. Ogrody zaś Bony przypominają żywe kontakty królowej z tym miastem, z którego sporo grosza i darów wyciągnęła na tzw. oprawę, fundując mu ogrody.

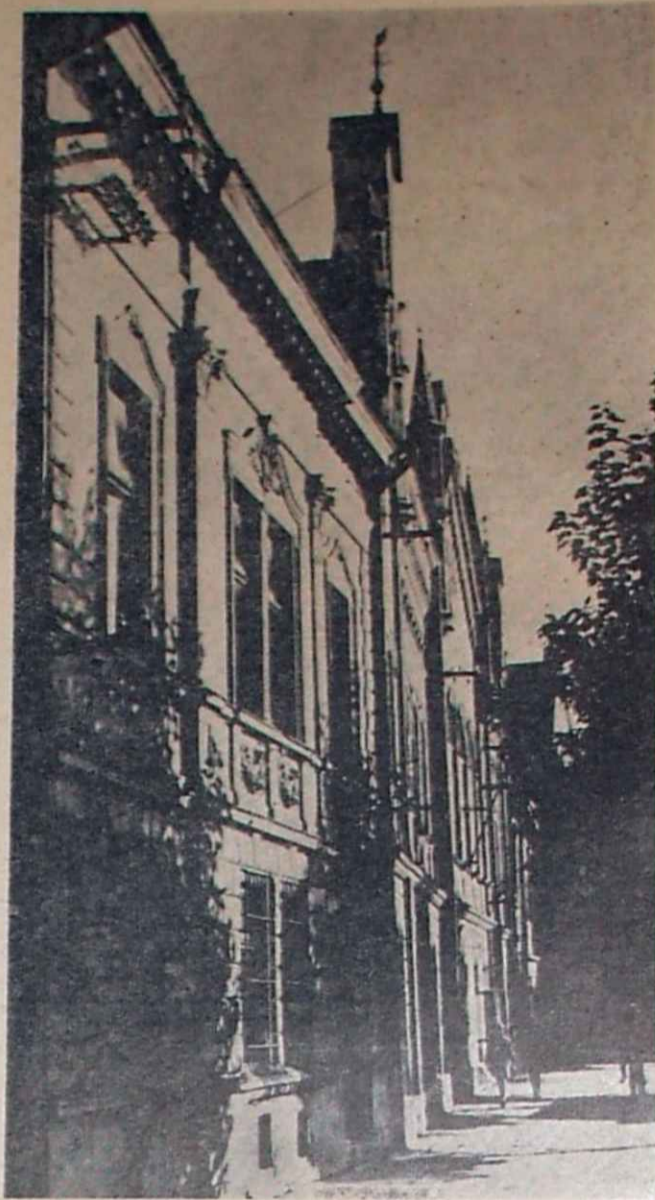
I — jak to bywa z okazji jubileuszy, miasto sięga pamięcią daleko, daleko wstecz poprzez wieki, słusznie czy też hipotetycznie dopatrując się w wielu sprawach nieprzerwanej jakoby tradycji. Jeśli, stwierdzają sanoczanin, obecnie na wyższych uczelniach całego kraju ponad 25 profesorów i pracowników nauki o głośnych nazwiskach jest rdzennymi synami Sanoka, zawsze chętnie tu powracającymi, wiąże się to jakoby z... Grzegorzem z Sanoka, pierwszym znakomitą polskim humanistą, i z Janem Grodkiem, który w wieku XVI był dziewięciokrotnie rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Nawet w tym generalnym bilansie wieków obecny „Autosan”, dawny „Sanowag”, zajmuje bezspornie miejsce niepoślednie jako zakład ze 130-letnią tradycją. W programie obchodów 800-lecia miasta jubileusz 130 lat istnienia fabryki jest szczególnie uroczysto obchodzony. Cały jeden dzień wyodrębniono jako „Dzień Autosanu”, łącząc go z otwarciem specjalnej wystawy, z kolportażem broszur przygotowanych przez Fabrykę.

Żyje w Sanoku plastyk Zdzisław Beksiński, potomek owego uczestnika Powstania Listopadowego, Mateusza Beksińskiego, który wraz z Walentym Lipińskim po upadku powstania zbiegł do Sanoka (na teren ówczesnej Galicji), otwierając tu skromniutki zakład rękodzielniczy. Tenże potomek zachował pierwsze, dziś już o wadze muzealnych eksponatów, wyroby kowalско-kotlarskiego warsztatu swego pradziada. Znalazły się one na jubileuszowej wystawie, którą kierownictwo miejscowego muzeum zaprojektowało w aspekcie: od miedzianego kotła do nowoczesnego autobusu.

O aktualnej produkcji „Autosan” nie ma chyba potrzeby rozpisywać się szerzej. „Sany” bowiem przy szych, bardzo konsekwentnie zresztą likwidowanych, brakach czy niedociągnięciach, stanowią dziś w całym prawie kraju najpopularniejszy środek lokomocji. Poza trzema województwami, posługują się nimi wszędzie miejska komunikacja samochodowa: ponad 80 proc. wozów na dalekobieżnych trasach PKS to również „Sany”. Dochodzi do tego coraz większa produkcja eksportowa autobusów oraz mikrobusów „Nysa”, przy których wykończeniu, a także i klimatyzacji (gdy idzie o eksport do krajów tropikalnych), konstruktorzy i załoga sanockiej fabryki mają ostatnie słowo. Obchody dwu jubileuszów łączą się z zejściem z taśmy dziesięciotysięcznego autobusu.

Dla historyka, dla socjologa ogromnie interesujące są dzieje walk sanockich robotników. Sanok był tym ośrodkiem, gdzie świadomość klasy robotniczej, w wyniku szybkiego rozwoju fabryki i związanego z tym wyzysku, dojrzała bardzo szybko. Są dokumenty świadczące o tym, iż pierwszy strajk wybuchł tu już w r. 1901. W Sanoku też jako jeden z pierwszych powstał Związek Zawodo-



wy Robotników Przemysłu Metalowego; tutaj kierowani przez KPP i KPZU metalowcy raz po raz podnosili sztandar walki a ich wystąpienia w latach 1930—1936 zapisały się na zawsze w kartach naszego ruchu robotniczego.

Wszystko to przypominają materiały, protokoły zebrań, dokumenty byłych policyjnych archiwów, świadectwa walki sanockich robotników, którzy w r. 1918 jednoczyli się we wspólnym frontie, we wspólnych radach robotniczo-chłopskich z mieszkańcami

# 1000-LECIE PO JUBILEUSZACH STĄPA...

CECYLIA  
BŁOŃSKA

Sanok —  
Siedziba MRN

Foto M. Kopeć

## PRZEMIAN ROK PIERWSZY

ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

**R**OK nauki 1962/63 jest przełomowym rokiem w naszym szkolnictwie. W zasadzie podobnym zdaniem można by, nie bez kozery, rozpoczynać artykuł witający każdy nowy rok szkolny, ale w tym wypadku jest ono szczególnie uzasadnione. Stopniowo bowiem przekształcanie cyklu nauczania podstawowego z 7 na 8-letni stawia nowe zadania tak przed szkołami, jak i rodzicami i dziećmi. Obraz korzyści wynikłych z tych przemian — zarówno dla społeczeństwa, jak i jednostek, w okresie późniejszym — nie może przesłaniać nam obrazu trudności, z jakimi obie strony spotykają się w chwili obecnej.

Kilka takich problemów istotnych też dla szkolnictwa na Białostoczczyźnie nie chciałbym zasygnalizować.

Na wstępie może nie najbardziej charakterystyczny, ale na pewno dosyć ważny dla obu wspomnianych wyżej stron, mianowicie znaczne zwiększenie wydatków związanych z dodatkowym rokiem nauki, tak w budżecie państwowym, jak i rodzinnym. Dodatkowy rok nauki syna, czy córki — to dodatkowy koszt na pomoce szkolne, mundurki i przeróżne składki. Ale niewspółmiernie większym wydatkiem reforma obciąża państwo: pomniejszenia szkolne, etaty nauczycielskie, pomoce techniczne — to wszystko w skali krajowej daje sumy niebagatelne. Ale w konsekwencji dla jednej i drugiej strony są to inwestycje, które się opłacają. Może nie tak namacalnie, jak w przemyśle (tam też różnie z początku bywa), ale równie korzystnie. Państwo mianowicie otrzyma w 1971 roku absolwentów średniej szkoły znacznie lepiej przygotowanych do życia niż obecnie, na wyższe studia przyjdą ludzie dojrzałsi (znane są utyskiwania kadry naukowej na „zieloną” młodzież rozpoczy-

nającą studia), a co najważniejsze, wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę, że stały rozwój nauk — żeby dać młodzieży jej niezbędne minimum — doprowadza w rezultacie do systematycznego przeladowywania programów szkolnych. Cóż, wiadomo, że do przepelnionego naczynia więcej cieczy się nie zmieści, niż brzegi na to pozwalają. A w tej chwili to już jest menisk wypukły. Rodzicom natomiast ubędzie kłopot co zrobić z niedouczonego pacholeciem w wieku, powiedzmy, 14 lat, w wypadku niemożności kontynuowania nauki.

Drugi problem jest znacznie większej wagi — szczególnie w województwie białostockim — mianowicie: kadry. Już w chwili obecnej na terenie Polski brakuje ok. trzech tysięcy nauczycieli. Z tego na Białostoczczyźnie przypada ponad dwieście wakatów. Województwo przekroczyło więc średnią krajową. Zakłada się przy tym, że starsze klasy szkół podstawowych powinny być obsadzone wyłącznie przez absolwentów Studium Nauczycielskiego, natomiast szkoła średnia winna zatrudniać wyłącznie specjalistów z wyższym wykształceniem. Postulat trudny do zrealizowania, skoro w województwie istnieją trzy SN, nie ma natomiast ani jednej wyższej uczelni typu pedagogicznego. Jeśli dodać, że jedno SN (w Elku) ma charakter specjalistyczny, będzie mieli pełny obraz tych trudności. Ktoś może powiedzieć, że inne uczelnie pedagogiczne w kraju, np. gdańska jako najbliższa, mogą te niedobory zaspokoić, zwłaszcza, że permanentnie dysponują wolnymi miejscami na takich kierunkach, jak matematyka, czy fizyka. Ba, kiedy zapotrzebowanie na pedagogów tego typu jest zjawiskiem ogólnokrajowym, a praktyka wykazuje, że absolwent z innych

(Dokończenie na str. 7)

okolicznych Nadolan, Nowotafica i innych wsi.

W mieście tym są dwa muzea: muzeum historyczne obrazujące dzieje miasta i okolicy oraz rozciągnięte na 30 ha Muzeum Skansenowskie, obejmujące również sporo obiektów zabytkowej architektury ludowej z budownictwa polemkiowskiego. Ze wszech miar słuszne są plany, by najbardziej charakterystyczne fragmenty fabrycznej wystawy przenieść na stałe do muzeum, w którym ongiś oglądałam nawet fotografie dwóch powstańców — założycieli zakładów oraz wewnątrz ówczesnego warsztatu. Z okazji „wkroczenia” w dziewiąty wiek istnienia, społeczeństwo Sanoka, załogi poszczególnych fabryk wykonały w czynach społecznych wiele prac, porządkując gród, instalując nowoczesne oświetlenie, reperując stare schody wiodące do parku miejskiego itp. A temu wszystkiemu przygląda się zniszczona przez hitlerowskiego okupanta, a przywrócona obecnie Sanokowi, wysoka postać Tadeusza Kołłączyńskiego. Jeśli wokół pomnika sanoczanin wykonał porządkujące roboty w społecznym czynie, to pięknie rzeźbioną statuetkę ufundował Społeczny Fundusz Odbudowy Kraju i Stolicy.

Nie ulega wątpliwości, iż miasto-jubileusz miało wzniesić może, wraz z rozlicznymi przyjaciółmi, którzy przybyli doń z bliska i z daleka, toast na nowe wieki rozwoju i pomyślności. Nie tylko „Autosan”, który już obecnie spuszcza z taśmy sześć wozów dziennie, decyduje o prosperity. Otwarto zniszczoną w czasie wojny Fabrykę Wyrobów Gumowych. I Sanok to przecież jeden z bieszczadzskich powiatów, a więc teren, mimo chwilowych zahamowań czy braków, sukcesywnie i skutecznie aktywizowany.

**M**AJA swoje jubileusze także i wsi, można by powiedzieć o 600-letnim Haczowie, wsi powiatu Brzozów, trawstując znane lacińskie przysłowie o ksiązkach.

Ze Haczów, schludny, czystutki, pięknie oświetlony, z usytuowanym na wzór miasta wielkim drogowym skrzyżowaniem w samym centrum vis à vis siedziby Gromadzkiej Rady Narodowej nie jest zwyczajną wioską, na to haćzowianie posiadają dziesiątki dowodów. Wystarczy powiedzieć, że między wcześniejsze z historycznych dokumentów sięgają czasów panowania Stefana Batorego, gdy z Haczowa rekrutowała się piechota wybraniecka. Wiele anegdot, opowiadań, krąży wokół podpisanych przez króla dokumentów powołujących haczowskich chłopów do udziału w wojnach. Pozostała we wsi rodzina Ekiertów, której pra-przodek służył w wybranieckiej piechocie, posiada papiery pieczołowicie przechowane, a obecnie z okazji obchodzonego w lipcu 600-lecia oprawione i fachowo zakonserwowane, by „trwać” mogły dalej.

Trzeba bowiem powiedzieć o haczowianach, co rzuci się w oczy odwiedzającym wieś, że umieją oni w życiu i w sztuce kulturalny sposób wiązać zainteresowania dla przeszłości wsi z aktualnym wysiłkiem na rzecz jej obecnego rozwoju. Wieś posiada powstałe w latach po wyzwoleniu liczne, nowe spółdzielcze placówki, wielką piekarnię mechaniczną, cegielnię, ośrodek zdrowia. Myśli się o zorganizowaniu muzeum wiejskiego, gdzie zgromadzone będą dokumenty, zdjęcia, pamiątki, wydawnictwa. Są propozycje, by muzeum takie zlokalizować w najstarszej chacie Haczowa.

Wyobrażam sobie, że w skład ekspozycji wejdą zdjęcia słynnego zespołu pieśni i tańca grającego od r. 1938 tzw. „Wesele Haczowskie”, z którym haczowianie występowali przed wojną w szeregu miast, będąc niezmiernie zachwyti. Autor tego ludowego widowiska, Stanisław Wysociski, skomponował ostatnio cały czwarty akt, tak że „Wesele” jest dłuższe i weselsze. Niewątpliwie znajdują się tu również poświęcone Haczowowi publikacje, jak wydana z okazji jubileuszu książka „Haczów wieś ongiś królewska” wywodzącego się z Haczowa Stanisława Rymara, czy prace zmarłego w Londynie dr. Józefa Ekierta, poświęcone pieśniom i zwyczajom dawnego Haczowa. Widziałabym tu również, jeśli ich sędziwy autor, wieloletni emerytowany miejscowy nauczyciel Michał Szuber — wyrazi na to zgodę, miejsce dla jego arcypracowitych, a jakże interesujących imiennych wykazów i statystyk w których zamyka on aktualne dzieje haczowian. Wystarczy jeśli zdradzę, iż w rejestrach ob. Szubra wi-

(Dokończenie na str. 9)



## Zburzenie Bastylli

Przeżywasz ból Joasi, szarpiesz się z Judymem,  
wraz z Piotrem się zapadasz w straszny grób Taniusi,  
z Forsytem idziesz w ogień i krztusisz się dymem  
i Lingardowi wtórzysz twarde: tak być musi!

Pomykasz z Ingeborgą przez omszone głązy  
i las pad toba gęstą zielen rozpościera,  
a potem płaczesz cicho ze skrzypkami Ujhażym  
i dumna Scarlett, gniew swój ciskasz w twarz  
[Buttlera.

Oto twoja Bastyllia — zakłete kolisko,  
w którym ślimak twych uczuć jak w muszli  
[się chowa,  
a przecież ci pisarze, by stworzyć to wszystko,  
musieli sami walczyć, cierpieć i miłować.

I przyjdzie taka chwila, kiedy karta biała,  
po której oczy bładzą, nagle ci zaplonie,  
i sięgnie twego serca roziskrzona strzala,  
gdy skrzydlaty złoczyńca luk swój ujmie w dłonie.

O, nie broń mu się wtedy! Z cichego ukrycia  
wyjdź na jego spotkanie. W Bastyllię toporem!  
I czytaj najciekawszą książkę swego życia,  
której ty sama będziesz najlepszym autorem.

JAN SZCZAWIEJ

## Polana fiołków

Miła, takiego cudu wspaniałego  
jeszcze nie widziałem.  
Najzulsze myśli nasze niech go  
[strzegą  
Przed ludzkim szaleń.

Polana. Dęby rzadkie dokoła.  
Jalowca krzak zblakany.  
Drewniany w górce stęk dzieciola.  
Rozlanych perfum dzbany.

Drobne to iskry wiosennego nieba,  
Czy wietrzyk lustro rzeki marszczy?  
Po co zgadywać? Nie potrzeba.  
Pochylić się wystarczy.

Ach, przecie to fiołków tutaj tyle.  
Jaki ten ranek dla nas hojny.  
O taki dzień, o taką chwilę  
Modliliśmy się w czasie wojny.

Fiołków błękitny, cichy ogień —  
Jakie to piękno, jaki spokój.  
Więc jakże, ma najmiłsza, mogę  
Poskromić tę łzę w oku?

To wszystko w popiół może zmienić  
[alóm.  
Fiołki i dęby. Skowronki i ludzi.  
Strzeżmy pokoju. Pokój niech lśni  
[światom.  
Polana fiołków niech nasz zachwył  
[budzi.

MAREK ADAM JAWORSKI

## Przed nocą

Nad łąką nocy cień się skrada,  
Ciemniejszą złote kłosa chleba.  
Jest cisza. Tylko szum owadów  
nie daje usnąć młodym drzewom.

Na niebo rude od zachodu  
włacza się wóz — lecz bez woźnicy.  
Turkot nie siliłmi żabich modłów  
i furman bieżem nie zakrzyży.

A człowiek staje zadziwiony  
spokojem, który serce leczy,  
aby zmysłami chwilę chlonać  
i kochać znowu proste rzeczy.

KAZIMIERZ EUGENIUSZ  
STESZUK

## Życiorys

Urodziłem się  
w barlogu rozartanej słomy

Sekate ręce matki  
kołysały moim maleńkim światem  
w rytmie  
aa aa kotki

Spałem w kołysce za krótkiej  
[o kosmyk włosów  
dlatego moja głowa  
łysa jak owoc melonu

Wspinając się po drabinie  
[galopujących lat  
zostawiam krople potu  
za tamtą słomę w barlogu  
za świat wykołysany  
za ościsły chleb z żaren

Umęczony  
znajem świtów i zmierzchów  
karmię mrówki  
najdroższe istoty macezynego piodu

Cóż mi więcej zostało  
mnie kukle tego świata  
fajka  
miąższ chleba  
i wiersze  
których nigdy nie potrafię dokończyć

IGNACY GAŚSIOROWSKI

## W pociągu

Pociąg wyprzedził  
niosąc wiosny zieloność  
— czasu obłok  
na aksamitnych skrzydłach jaskółek  
— jakże — lata wędrującym gronom?  
Będę ściagał swoją dojrzałość  
— włosujący w liści zalewie  
na łodziach pełnych mroku.  
Za wiele światła, za wiele,  
aby przenieść  
jaskółczej trwogi drzenie.  
Głos pociągu wciska się ostro  
przez szczelnie strzeżone chwile  
do głębi górskich skał.  
Daleko  
tęczowym mostem  
zachodu ciepły krwł wylew.  
Zmęczonej ziemi cwał.

miętacie kawał „z brodą” o odwołaniu  
salwy z dział na skutek braku...  
dział?).

Więc po co w ogóle zabierać się do  
strzelania? Gdy nie ma dział ani prochu?  
Ba... Nie myśmy winni odpowiednie  
dział na to interesujące skądinąd pyta-  
nie. Zanim jednak nadejdzie nie-  
uchronnie godzina wyrzutów i wza-  
jemnych oskarżeń, głosów krytyki i  
głosów urzędowego optymizmu, przy-  
rzujemy się filmowym „działom”, któ-  
re jakoś nie wystrzeliły...

O SMUTNYM KIEROWNIKU

Było mi bardzo żal kierownika ki-  
na „festiwalowego” w pewnym mieście  
wojewódzkim (zdradził swych wo-  
dźców, więc przemilczam szczegóły). Z  
wielkim smutkiem obliczał niewielkie  
procenty frekwencji widzów i niepo-  
równanie znaczące cyfry — strat.

## Serpentyny

Korsarz mych myśli — gniewny srebrny pajak  
rozpina sieci do wrót nieboskłonu.  
Ja się w nich miotam jak we wnyku zajac,  
wyrzucam słowa i dotykam gromów.

Cóż kiedy wędna i miękkie się stają,  
Demiurga piersi dotykają trzonu.  
A gniewne męstwo zamknięte w wiewarum  
jest głuchym drzeniem kołysanych dzwonów.

Po co więc krzyżeć i zrywać uwięzie?  
i dręczyć siebie? Po co iskać w słowach?  
W znowę przyjaciół wdziarać się jak iskra?

Wciąż jestem liściem na uschlej gałęzi,  
trzymam się mocno i rysuję owal  
twarzy na wietrze, ażeby nie przysła.

CZESŁAW TWARDZIK

## Jest dzień

Ogromny, pachnący bochen  
na stół wtoczył pyzaty piekarz.  
Proszę.  
Na głowę po kromce uśmiechu.

Błękitny beret nad drzewem  
dziurawią fabryczne syreny.  
Dobrze, gdy w ludzkich trzewiach  
rozkaz obudzi się śpiewem.

Po rozwiniętych chodnikach  
w roboczych portkach poczłapał  
beztrosko dźwigowy Michał.  
Wczoraj było inaczej.

Słońce jest w szklanych ulach,  
ule kwitną jak astry.  
Za miasto godziny ktoś turla —  
wagony pełne złotych plastrów.

Skowronki a cappella  
nuca Lipcowy motyw.  
No widzisz, Campanello,  
to nie była utopia.

W zieleni czerwony interwał  
drapieżnym marszom w poprzek  
człowieczą miłość śpiewa.  
To dobrze.

JAN LONGIN  
OKOŃ

## Burza

Watahy chmur  
zdmuchnęły świece gwiazd  
wiatr  
co chwila pociąga  
czerwony sznur błyskawicy  
i budzi gniew  
niewidocznych  
gromoskrzydłych  
widm

Dygocą drzewa  
wbijane w ziemię  
długimi  
cienkimi  
włóczniami deszczu

Zdumiony pies  
zamknięty klamrą łańcucha  
u wrót swego gniazda  
drży niespokojnie  
a nad wioską  
szeleści i tętni  
burza  
smagana  
złotymi batami  
błyskawic.

Pocieszała go jedynie możliwość uzy-  
skania szybkiej odsieczy, i to z kilku  
stron: z ładu (kasowy film „Rio Bra-  
vo”), z morza („Karmazynowy pirat”),  
wreszcie — z powietrza („W 80 dni do-  
kokoła świata”). Ach, w tych zagranicz-  
nych „bombach” prochu było aż za  
wiele...

Na początku — jak się zwierzał ów  
kierownik — wyglądało wcale nieźle.  
Przecież właśnie filmy polskie pro-  
dują u nas na listach obrazów o naj-  
większej frekwencji widzów. Wszakże  
zeszłoroczny festiwal został powszechnie  
uznany za imprezę udaną. Więć  
kierownik kina w wojewódzkim mie-  
ście zacierał ręce, gdy „Spóźnieni prze-  
chodnie” osiągnęli pierwszego dnia  
wyświetlenia, średnio na wszystkich  
seansach, 80% zapełnienia sali. Nie-  
stety — drugiego dnia radość zmie-  
szła się wraz ze spadkiem frekwencji

Z każdym dniem smutek w sercu  
[wzbiera,  
cholerna gorycz w gardle dusi,  
o krawędź śmierci się ocieram,  
czy tak być musi?

I sen o stawie pryska niczym  
zwodnicza i mydlana bania,  
zostaje popiół, a wiatr bieżem  
popiół po świecie rozgania.

Gdyście ciekawi, w tym popiele  
iskry żarzące odnajdziecie,  
okruchy iskier, które w dziele  
zostają po poecie.

(I ktoś pomyśli: talent miał,  
kręgosłup tęgi i kark twardy,  
a nade wszystko czyste ręce.  
I chociaż wódę jak smok chliał,  
poeta bywał kiedy chciał,  
romantyk w blasku awangardy —  
czegoż chcieć więcej?)

Cena milczenia jest okrutna,  
kiedy najlepsze lata gina.  
Zaczynać życie wciąż od jutra  
nie czas, gdy nie jest się Judymem.

Dlatego smutek, który wzbiera  
goryczą, co dzień w gardle dusi  
i chociaż o śmierć się ocieram,  
Barleycorn kusi...

(Z cyklu „Z Johnem Barleycornem”)

ZDZISŁAW POPOWSKI

Wiersz o szczęściu  
i przyjaźni

Mówisz, że język poetki  
jest wykładnikiem wyobraźni  
i tego nurtu, który płynie...  
Ale ja temat ten rozwinę,  
gdyż chcę powiedzieć o przyjaźni.

Z drzewem wiszącym nad urwiskiem  
przyjaźń zawarłem już przed wiekiem,  
z ono było mi kołyską  
i wiem, że będzie trumny wiekiem.

Z rzeką mnie łączy żywioł piąty  
i mewy lot od światła lżejszy.  
W gąszczach jej wiotkich wodorostów  
nie ryby łowię, ale księżyc...

Pola otwarły mi swą duszę  
pszeniczną, żytnią i bławatną.  
Klaniam się polom kapeluszem  
letniego wiatru.

Klaniam się rzece, drzewom, płakom  
i tobie, nocy, gdy sny wiesziesz.  
I tylko od przyjaźni takiej  
maleńkie szczęście me zależy.

Mówisz, że język poetki  
jest wykładnikiem wyobraźni  
i tego nurtu, który płynie...  
Ja jeszcze dodam trudy wszystkie  
i przyjaźń, która nas prowadzi  
przez skwary lata, śniegi zimy.\*

\*) Z przygotowanego do druku zbioru pt. „Srebrne lichtarze”.



GAWĘDY O FILMIE POLSKIM

## Salwa bez prochu

JERZY KURYLUK

ZNAJDZIE się zapewne więcej  
powodów, z jakich tegoroczny  
festiwal filmów polskich, nazwa-  
ny tym razem skromnie „Dniami  
Filmu Polskiego” czy w skrócie DFP  
— nie udał się. Powód pierwszy: nie  
było filmów festiwalowych. „Wystar-  
czy ten pierwszy powód!” — powie-  
dział w podobnej sytuacji realistycz-  
nie patrzący na rzeczy Napoleon (pa-

na 40%. A trzeciego? Nie ruszajcie ran  
— 20% i dno upadku!

Niedoskonałość natury ludzkiej sprawa,  
że pocieszają nas jeszcze większe  
od naszych utrapienia bliźnich. Ale  
tutaj smutek był aż tak wielki, że nie  
pomógł nawet telefon od „konkuren-  
cji”: w innym kinie, już nie zeroekra-  
nowym (tego wieczoru i zero-kaso-  
wym) znalazło się w kasie na jednym  
z seansów raptem... 80 złotych!

Na jakim to marnym filmie? — za-  
pytacie. Na „Eroice”, prośbę państwa!  
Bowiem w ramach DFP zorganizowa-  
no, jakże słusznie, coś w rodzaju ma-  
łego festiwalu filmów nieodwołanego  
Andrzeja Munka (minęła pierwsza  
rocznica jego tragicznego i bezsen-  
sownego zgonu). Hm, zorganizowano...  
W wypadku omawianego tu miasta,

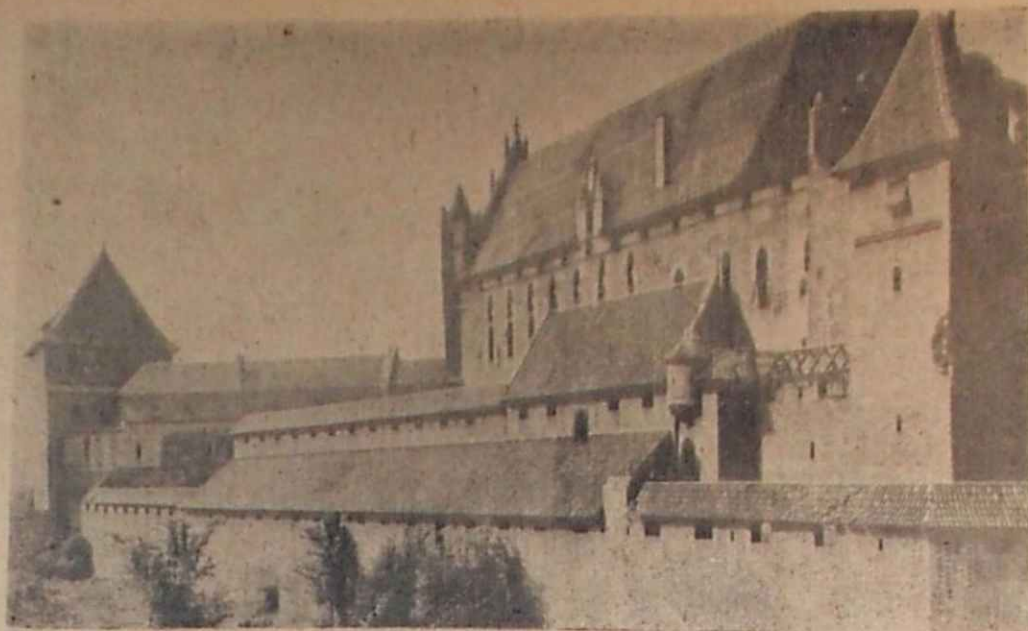
(Dokończenie na str. 11)



# PO POWROCIE Z POLSKI (1)

ANNA  
TATARKIEWICZ

Na zdjęciu —  
zamek malborski



**C**ZŁOWIEK, ruszając na wczasy — wyjeżdża za granicę swego powszechnego bytowania, zaczyna patrzeć i reagować po trosze na prawach cudzoziemca. Najważniejsze z tych praw — to prawo do ciekawości i prawo do zdziwienia. Jaki to ciekawy kraj — Polska. Jaki to dziwny kraj — Polska.

## PO NIEJ POZIOMU MORZA

Znaczna część Żuław oznaczona jest na mapie ciemnozielonymi plamami depresji, terenów, położonych poniżej poziomu morza. Dla wczasowiczów Żuławy to pas plaży od Trójmiasta do Krynicy Morskiej. Dla ekonomistów i gospodarzy terenu to region, który na mocy uchwały KERM ma być poddany zabiegom intensyfikacji gospodarczej.

Żuławy zostały wyzwolone późno i były widownią zaciętych walk. Po dziś dzień po lasach zieją okopy, na polach — straszą niewypały. Wojna zrujnowała także skomplikowany system regulacji wód, podstawę tutejszej gospodarki rolnej. Na przekór prognozom zagranicznych specjalistów z problemem wodnym uporano się na podziw szybko. Ale nie znaczy to, by ziemia Żuław dawała już z siebie maksimum. Na Żuławy przyszła po wojnie ludność z najróżniejszych stron Polski, nie obeznana z tajnikami miejscowej gospodarki. Teraz mieszkańcy Żuław mają za sobą kilkanaście lat zżywania się z nowymi warunkami. Uczyli się rybactwa i ta nauka poszła im bardzo sprawnie. Mówią o tym najlepiej zasobne obciążenia rybackie, znaczone suszącymi się ściekami na parkanach i — przeważnie — anteną telewizyjną na dachach. Morza nie trzeba uprawiać, w rybactwie jest element przgyody, ryzyka i doraźnego zysku i może dla tego nowo kreowani rybacy odnieśli pełne sukcesy wcześniej od rolników. Żyżna, ale oporna ziemia Żuław wymaga pracy umiejętnej i wytrwałej, żarliwej i cierpliwiej. Intensyfikacja gospodarcza Żuław to — obok inwestycji przemysłowych — problem takiej właśnie pracy. Są różne dane ekonomiczne, rokujące, iż ta akcja, jak wiele innych podobnego rodzaju — zostanie uwieczniona powodzeniem. Jest także pewien czynnik psychologiczny. Starsi mieszkańcy Żuław na pytanie „Skąd jesteście?” odpowiadają różnie: Z bydgoskiego, spod Lublina, z Wileńszczyzny, z Podhala. Młodzi (od dwudziestu paru lat w dół) przejęli po rodzicach różne typy antropologiczne i różnorodne akcenty, ale na pytanie: „Skąd?” — odpowiadają zgodnie: „Tutejszy”. To zdaje się rekojmia, iż tym tutejszym tutejsza ziemia da pożądaną maksimum.

A młodzieży i dzieci jak wszędzie w Polsce jest tu mnóstwo. I jak wszędzie nie brak kłopotów z budynkami szkolnymi. Co prawda w takim Mikoszewie zbudowano już nową szkołę, nowoczesną, w swej oryginalności bardzo ładną i chyba funkcjonalną. Ale na przykład w Sztutowie...

## TAM, GDZIE BYŁ STUTTHOF

Sztutowo to dawny Stutthof. Hitlerowcy założyli tu jeszcze przed wojną jeden z najstarszych i najcięższych obozów śmierci. Oboz mieścił się w lesie nieopodal samej wsi. Poza SS-mami, psami, zasiekami, prądem wysokiego napięcia — na straży obozu stało morze, Wisła Królewiecka, bagniste lasy, a dodatkowym wrogiem więźniów była malaria oraz wyjątkowo jałowa woda, pozbawiona całkowicie

wapna. Oboz, rozbudowywany przez całe lata — rozrósł się głęboko w las; hitlerowcy wymordowali tu około 60.000 ludzi różnej narodowości, wśród nich — wielu Polaków z Gdańska, Gdyni, Pomorza. Obecnie część budynków poobozowych przystoczono w muzeum. Nad krematorium wznosi się duży krzyż, symbol męczeństwa, we wnętrzu urządzono z taktem rodzaj posępnego mauzoleum. Rokrocznie w dzień wyzwolenia obozu przybywają tu dawni więźniowie, by uczcić pamięć pomordowanych ofiar. Do obozu-Muzeum przyjeżdżają też wycieczki z całej Polski i nie tylko z Polski.

Otóż trzeba powiedzieć, że latem czeka je tu nieco dziwny widok. Od niedawna w sporym murowanym gmachu komendantury, przylegającym do baraków zainteresował się ośrodek wczasowy jednego z ministerstw. W bezpośrednim sąsiedztwie krematorium i ponurych pozostałości obozowych — hasają sobie wczasowicze i wczasowiczki w strojach niedbałych oraz ich swawolne pociechy.

## NA ŁÓW, NA ŁÓW!

Bursztynowe w barwie bursztynodajne. I właśnie bursztyn jest jedynym bodźcem, który podrywa wczasowiczów na nogi. Najpiękniejsze zakątki lasów świecą pustkami, znużone kormorany i czaple przestały już czekać, aby kto zamącił spokój ich rezerwatu, ale za to słynny z bursztynu brzeg morski u ujścia Wisły w Mikoszewie roi się od łowców jantaru. Zjeżdżają tu pono z całego wschodniego Wybrzeża i z siatkami w ręku od wczesnego rana paprzą się w mierzwi, nanoszonej obficie przez królową naszych ścieków.

W tym roku zbieraczy bursztynu ogarnął istny szal, a to z powodu „urodzaju”, wywołanego niezwykle silnymi sztormami wiosennymi i letnimi. Dostyc powiedziec, iż do końca lipca punkty skupu zgromadziły z górą 10 ton bursztynu, który — jak słychać — zaczyna być coraz modniejszy, także i w Ameryce.

Bursztyn — jantar — elektron: krople zakrzepiej żywicy z przedwiecz-

## PO SEZONIE

W tej doraźnej rubryce znajdują Czytelnicy trzy reportaże zawierające wnioski wynikłe z obserwacji poczynionych w czasie wakacyjnych wyjazdów autorów.

Życie ma swoje prawa, niemniej przeto wydaje się, iż można by znaleźć dla owego gmachu mniej szokujące zastosowanie. Miejscowa prasa podobno co rok porusza tę sprawę. Mieszkańcy Sztutowa uważają, iż najsluszniej byłoby oddać gmach władzom oświatowym. Kilkaśdzieci szkolnych z samego Sztutowa i okolicznych osad tłoczy się w ciasnym, starym budynku, gdy tamten okazały gmach poza sezonem świeci pustkami. I w dodatku jest położony dobry kawał drogi od morza — wczasowiczów kilka razy dziennie specjalny autokar wozi na plażę i z powrotem na posiłki.

Ale problem jeżdżenia, chodzenia i leżenia na wczasach to — jakby powiedział Kipling — znów inna historia.

## RUSZYĆ Z POSAD BRYŁĘ CIAŁA

W którymś z artykułów sportowych „Polityki” uskarżano się na to, że Polacy za mało się ruszają. Tę prawdę w całej rozciągłości potwierdza zachowanie się nadmorskich wczasowiczów. Można przejść trzydziestopokilometrowy pas plaży od Krynicy Morskiej po ujście Wisły w Mikoszewie — i poza odcinkami plaży strzeżonej — nie spotkać żywej duszy. Na ludzi uprawiających piesze wycieczki patrz tu jak na kiepskich wariatów albo może dusigroszy, żałujących pieniędzy na autobus (sieć autobusowa jest tu doskonale zorganizowana i można dojechać wszędzie bez trudu i o każdej porze dnia). Normalni wczasowicze odbywają en famille jedną jedyną wycieczkę dziennie — na plażę, a i to patrzą z nieukrywana zazdrością na właścicieli samochodów, albo użytkowników autokarów, zajeżdżających czterema kółkami nieledwie w same „błękitne fale Bałtyku”.

Rezultaty owego antyruchowego nastawienia? Jak powiada pewien mój znajomy — nadwaga z plaży Wybrzeża można by nakarmić parę krajów niedorozwiniętych gospodarczo...

A co do fal Bałtyku, to prawdę powiedziawszy — są nie tyle błękitne, co bursztynowo-bure, a o zachodzie słońca nalane złotem.

nych lasów, od tysięcy lat świadek historii i przedmiot pożądania. Jest się nad czym zadumać, ale łowcy bursztynu nie są skłonni do zadumy. Grzebią zajadle, byle jak najwięcej złotych i brunatnych ziarenek, a gdy szczęście sprzyja — bryłek. Byle wygrać jak największy los w tym jantaro-łotku, jeszcze jednej odmianie hazardowej gry. Ideał współczesności: fortuna bez wysiłku.

## KIEPSKI WARIAT

Za podobną ulgową fortuną goni także inna znów kategoria hazardzistów: autostopowicze. Na Wybrzeżu, jak w innych atrakcyjnych regionach Polski, nie brak postaci w sombrach i z workami turystycznymi. Zalegają one godzinami rowy u wyjazdu z miast i na skrzyżowaniach dróg. Autostop jest akcją reklamowaną, poniekąd gloryfikowaną, ma przyjaciół i protektorów wśród nader szacownych i możnych instytucji i organizacji. A niechże im, autostopowiczom, róża zakwitnie (jak powiadała stara ciotka), ale czy nie można by choć części owej sympatii i poparcia przenieść na szaleństwo innego rodzaju, a chyba zdrowsze dla ciała i ducha — na sport rowerowy?

W barze samoobsługowym w Krynicy Morskiej jedliśmy obiad z niepozornym chłopczkiem w okularach. Jak się okazało w nawiązanej łatwo rozmowie — niepozorny chłopczek właśnie skończył szkołę zawodową, jesienią idzie do pracy, a lato postanowił wykończyć na podróży rowerem po Polsce. W tydzień przebył z górą 1000 km, jadąc z Wrocławia przez Warszawę i Białystok na Wybrzeże, a dalsze plany miał nie mniej zamaszyste. Bardzo sobie swą podróż chwalił, narzekał tylko na trudności z noclegami; bo też Polska nie jest nastawiona na turystów tego rodzaju.

A właściwie dlaczego nie? Przecież rower to nie samochód. Stać nań w praktyce każdego człowieka pracy. To na pewno jeszcze jeden temat dla prowadzonej z pasją przez „Politykę”

# Z Ł O T O leży w trawie

MARIA PRUSZYŃSKA

**T**YŁKO ten, który widział zajął po wojnie sterczące ku niebu w niemej żalości kilcuty w Krynicy Nadmorskiej, ocenił w pełni jej dzisiejszy stan. W podnóżach domów wczasowych najróżniejszych instytucji biela się obrusy, kwiaty czyste, lśniące szklanki. Przed dobrą hotelu. Dmki kempingowe rozrzucone wśród lasu, wyglądają jak zbudowane z bajecznie kolorowej kart, ale są weale solidne. Przedsiębiorstwo budowlane z Gdańska wdało na nowy pomysł. Niby jakby mieszkalne Sukienice. Pokoje mają wspólne ściany boczne. Z przodu ogromne tafle szklane przysłonięte pięknie dobraną lnianą kotarą. Tapczany, podnoszone na dzień, sporty stolik, wygodne miękkie stolki. Zakład marek umywalnianio-kuchenny. Płytki. Trzy osoby mają tu gdzie żyć i położyć rzeczy.

W dodatku Krynica Nadmorska posiada doskonałe zaopatrzone. Dotarli tu nawet ananasy. Wspaniała miejscowość.

To front Warmii. Za nim, po drugiej stronie zalewu, odbudowuje się piecizolowicie ciekawe średniowieczne mury obronne katedralnego wzniesione w Fromborku, gdzie zagubione wiatrumien innych kanoników leżą zwłoki jednego z największych myślicieli świata. Warto przyjechać do Fromborka, żeby zrozumieć, że wielkiego swego odkrycia nie zawdzięczał Kopernik praktycznie biorąc niczemu poza własnym geniuszem. Luneta zbliżająca ciała niebieskie ku ludzkiemu oczu jeszcze nie była wymyślona. Drewniany sekstans, mierzący na niebie kąty, i drewniany globus — to właściwie wszystko, co posiadał. Nie jest powiedziane, czy Archimedes i kapłani egipscy nie mieli lepszego wyposażenia naukowego.

O ile na wzgórzu katedralnym nie się od majstrów, o tyle — w Fromborku brak mieszkań i brak prac. Obok o 800 metrów, w Świętym Kamieniu, odbudowano fabryczkę białej cegły piaskowej. Wydano w tym celu 2 i pół miliona złotych. Ale fabryczka stoi. Gorzej: rozpada się w gruzy. Bł plany odbudowy Fromborka tkwią od lat w jakichś warszawskich biurach projektowania. Rybacy tutejsi dobrać zarabają. Mogliby sobie domki podobować sami, ale nikt im tego nie ułatwia, nikt ich w tym kierunku nie zachęca. Tutejsza cegła mogłaby być i do Gdyni, ale wylot zalewu jest już poza naszą granicą. Zwiększona liczba rybaków trzebi rybę, Warmia się dusi, szerokość mierzei to raptem w niektórych miejscach 800 m. Gdyby przekopać kanał, rybacy wypływaliby na pełne morze. Ryby z Bałtyku dostawałyby się w zaciszne, cieplejsze wody zalewu.

(oklaski!) dyskusji o prawdziwym umasowieniu sportu.

Skoro już mowa o Wybrzeżu i morskich rozrywkach, nie podobna pominąć Malborka.

## EX LUTO MARIENBURG

Jak wiadomo, od czasów Sienkiewicza i Forda, Krzyżacy są naszym narodowym hobby. Nic też dziwnego, że w Malborku wrota się nie zamknięte od wycieczek pieszych, samochodowych i autokarowych. „Ex luto Marienburg” podupał mocno od czasów, kiedy nie potęga tak imponowała rycerzom z Bogdańca, ale i teraz jest na co popatrzeć i gdzie pochodzić. Wprawni przewodnicy oprowadzają wycieczki w rękordowym tempie, ale i taki prawdziwy zabiera coś około 4 godzin. Turysty różnej płci i wieku gapią się z szacunkiem na okazale krzyżackie ostędy, obcmokując nabożnie co im przedwnik do obcmokania podaje. Poniżej rymch co prawda nachodzą heretyckie refleksje. Krzyżacy wzniesli Malbork jako symbol germańskiej przemoc i zawiśle jak żelazna pięść nad Słowiańszczyzną. Po rozbiórce król pruski dopuścił do zrujnowania pisanego zabytków. Na przełomie XIX i XX



Ten kanał to pierwsza życiowa potrzeba Warmii. Drugą jest rozważa mieszkańca. Sprowadza się do tuścowych budowli, a tu bezrobocie sto kilometrów miast, a tu bezrobocie. Bo zalew zamarza. Nawet rybak się. Spropracowałyby zimą w ceglarni. Spropracowałyby zimą w ceglarni. Spropracowałyby zimą w ceglarni.

Starego Fromborka nie warto odbudowywać. To w końcu miasteczko, jakich wiele. Ale oprócz katedry jest tu drugi zabytek, na światową skalę, i ten zabytek rozpada się z minuty na minutę. Średniowieczny szpital-kościół p. w. św. Anny. Wokół nawy cele chorych ogrzewane jakimś kaloryferem. To odbudowywać powinno dwóch naukowców i jeden majster, każdy kamień musi być „naukowo” położony. Gdyby tu urządzić jakieś muzeum starego szpitalnictwa, byłoby to drugie centrum turystyczne, obok spraw związanych z Kopernikiem. Rzecz jest pilna. Bardzo pilna.

Ziemia warmińska jest bogata, urodzajna. Tylko że sprawdza się tu stara zasada rolnicza: „masz nawóz, masz urodzaje. Nie masz nawozu, nie masz urodzajów”. Właściwie to dobra polowa nauk rolniczych obraca się wokół zagadnienia nawozów i ich odpowiedniego rozdziału. Nawóz to koń i krowa. Konia zastępuje coraz bardziej traktor. Szusznie, tylko że na odpadkach benzynowych nic nie wyróżnie. Tym ważniejsza jest krowa. Nawóz sztuczny nie zastąpi całkowicie naturalnego, przynajmniej na razie. A z tym naturalnym jest na Warmii źle. Pastwiska zaniedbane. PGR-ry nie z nimi nie robią. W ogóle cała Polska wygląda pod tym względem niczym pas szucki, na którym, jak wiemy, figurują właśnie osty. Ale od imię pana Paska i księcia Panie Kochanku wiele wody w Wiśle upłynęło. Myślę, że osty niszczą już w tym roku przynajmniej 1/4 urodzajów zbóż na przestrzeni kraju. To w kwintalach i dolarach fortuna. A każdy oset to potencjalnie setki ostów na rok przyszły, bo nasiona ostu „leca z wiatrem”. Na Warmii, jak w każdym pięknym zakątku naszego kraju, wędrują setki wycieczek. Rozkładają się obozy harcerzy i innego młodocianego narybku. To wszystko lata z kąta w kąt kraju, nie zawsze uświadomiane przez swoje kierownictwo o tym, co widzi. Czy nie należałoby ich zachęcić do wyniszczenia ostów na polach? Przdającym grupom można by ofiarować motocykle, aparaty fotograficzne, bilety na ciekawe wycieczki do Leningradu, Bulgarii. A na hodowców ostów należałoby pilnie nakładać kary.

Większość domów wiejskich na terenie byłych Prus Wschodnich ma pokoje na piętrze. Przeważnie zabite deskami okna. A to świetna możliwość tzw. „wczasów pod gruszą”, które dotąd jakoś wchodzi w życie tylko w uczęszczanych tradycyjnie miejscowościach.

I jeszcze jedna uwaga: po staremu nad morzem najłatwiej o rybę w puszcze. To samo w otoczonym jeziorami Olsztynie. A przecież świeża ryba jest chyba zdrowsza od konserwowanej!

Maria Pruszyńska

wieku niemieckiej Viollet-le-Duc i\* spod znaku Bismarcka pieczeniowicie je a paskudnie odbudowali. Rekonstrukcja pada z kolei ofiarą wojny, wszczętej przez ten sam z ducha germański militarizm. A teraz znów my z niemałym nakładem kosztów owe pomniki zaborczej buty re-rekonstruujemy.

Ach, oczywiście, wiadomo, co przemawia za owym re-re: racje historyczne. Niemniej przeto jest w tym jakaś ironia. Sunt fata Marienburgi.

#### GRUNWALD, KTO WYSIADA?...

Krynica Morska ma znakomite połączenie autobusowe z Warszawą. Jedzie się przez szczyt nad jeziorami i przez lasy olsztyńskie. Na którymś niepozornym przystanku konduktorka woła:

— Grunwald, kto wysiada?

Nawiasem mówiąc, na Wybrzeżu regulą są konduktorki — młode, ładne i wyjątkowo uprzejme.

W Grunwaldzie nikt nie wysiada, wszyscy natomiast wykręcają szyję, wypatrując pola grunwaldzkiego. Ale pola stąd nie widać, tylko las, a nad lasem szczyt pomnika. — Czy to tu kręcą „Krzyżaków”? — pada py-

\* Architekt tancuski XIX w. Pod jego kierownictwem odrestaurowano wiele gmachów zabytkowych we Francji.

# PRZEMIAN ROK PIERWSZY

(Dokończenie ze str. 4)

terenów często — gesto „ginie” gdzieś po drodze, zwabiony lepszymi warunkami.

Czy jest na to jakaś rada? Jest. Od roku już toczą się pertraktacje na szczeblu centralnym nad utworzeniem w Białymstoku Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Taka uczelnia nie tylko by zaspokajała wewnętrzne potrzeby, nie tylko by mogła dobrze przysłużyć się sąsiednim województwom, ale wpłynęłaby niezwykle korzystnie na rozwój kulturalny samego Białegostoku. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że brak bazy materialnej dla naukowców-humanistów, pisarzy, krytyków — to jedna z poważniejszych bolączek stolicy ponadmilionowego bądź co bądź województwa. Zagadnienie trudnego okresu początkowego takiej uczelni — jak słusznie postuluje Krystyna Siemiatycka na łamach „Gazety Białostockiej” (z 24.VIII. br.) —

można by rozwiązać przez dojeżdżanie naukowców z takich ośrodków, jak Warszawa czy Lublin. Kiedy ta, „oddolna inicjatywa” doczeka się realizacji — trudno powiedzieć, w chwili obecnej sprawą zajęła się Komisja Sejmowa, a pozytywne rozwiązanie zapewni osobiste zajęcie się nią przez wojewódzką instancję partyjną i Woj. Radę Narodową.

Dla dopełnienia obrazu trudności kadrowych trzeba wspomnieć również o poważnych niedoborach wśród pracowników merytorycznych Kuratorium, a także wśród kadry wykładowców technicznych (nie zapominajmy o politechnizacji i haśle „Szkoła bliżej życia”); odwoływanie się Kuratorium do pomocy w tym zakresie zakładów pracy nie zawsze odnosi pożądany skutek.

Inny problem istotny dla szkół białostockich — to sprawa pogłębienia nauczania, a więc zaopatrzenia w niezbędne pomoce szkolne, a także nauczanie systemem pracowniowym. Jeśli chodzi o pierwszy z nich, to powołana do tego instytucja — CEZAS ma poważne kłopoty w zakresie zaopatrzenia choćby w tak podstawowy artykuł jak warsztaty stolarskie.

Dyskutowany wielokrotnie system pracowniowy (mający wszak wiele zalet) jest również dość trudny do realiza-

cji. Z przyczyn obiektywnych, a chyba też i subiektywnych. Obiektywne: trudności lokalowe i wspomniane już wyżej „zaopatrzenie”. A subiektywne? Trochę obawa przed ryzykiem innej organizacji pracy pedagogicznej, trochę brak wzorów i doświadczeń na tym polu w Polsce. (Stypendia zagraniczne?) A jeśli przejść na ten system, to czy w istniejących aktualnie warunkach nie ulegnie on spłyceciu?

Trudno doprawdy nie przyznać racji obu tym argumentom, chociażby w części. Lecz z drugiej strony realizacja hasła — jeszcze raz je przytoczę — „Szkoła bliżej życia” bez reformy jakiejś i w tym kierunku jest bardzo problematyczna. Czy same zajęcia praktyczno-techniczne, jak nazwano teraz dawne roboty ręczne, wystarczą? Nawet jeśli nie było to tylko zmianą tytułu?

To by były tylko niektóre z ważnych, bardzo ważnych i na pewno trudnych problemów, jakimi przy okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego podzielił się z autorem niniejszego najbardziej kompetentni w agadnieniu — pedagogicy i pracownicy Kuratorium.

Można by rzec: pierwszy rok przemian, dalszy ciąg kłopotów. Ale wierzymy wszyscy, że kłopotów do przewyciężenia.

Aleksander Gabrusiewicz

## PRACOWITE LATO

JERZY BEKER

MOŻE dlatego, że nie uchodzimy za nazbyt realistycznie nastawiony naród, uwielbiamy wszelkiego rodzaju dane cyfrowe. Tylko przy pomocy magli cyfr gotowi jesteśmy uwierzyć w sukcesy albo porażki. A więc na pożarcie amatorom cyfr rzucam pierwszą. W akcji letniej organizowanej w tym roku przez Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej w Białymstoku, przy czynnym współudziale Kuratorium Okręgu Szkolnego, uczestniczyło 550 dziewcząt i chłopców. W liczbach bezwzględnych jest to niewiele, jeśli wziąć pod uwagę, że do ZMW na terenie naszego województwa należy prawie 28 tysięcy osób. Można by także twierdzić, że jest to niewiele w porównaniu z harcerską akcją letnią albo z latem obozowym ZMS, a jednak jest to dużo. Była to bowiem najlepiej zorganizowana i najliczniejsza akcja letnia młodzieży wiejskiej na terenie województwa białostockiego. Objęła ona przede wszystkim młodzież zrzeszoną w szkolnych kołach ZMW, aktyw gromadzki i nauczycieli współpracujących z kołami terenowymi. Oddzielną pozycję w akcji „Lato 1962” stanowią obozy wędrownie organizowane przez szkolne koła ZMW. Było ich siedem, na 25 osób każdy.

Chciałbym króciutko omówić formy akcji letniej i uzyskane wyniki. Może najpierw o obozach centralnych organizowanych w Sopocie. W pierwszym turnusie w dniach od 29 czerwca do 14 lipca brali udział nauczyciele szkół podstawowych i szkół przysposobienia rolniczego. Było ich około stu, a ich pobyt w ślicznym ośrodku campingowym LZS był swego rodzaju nagrodą za całoroczną współpracę z kołami ZMW, za prowadzenie świetlic i zespołów amatorskich, za godziny urwane z czasu przeznaczanego na odpoczynek. Ale nie tylko plażowanie i kąpiel miały być ich podstawowym zajęciem. Wypoczynek wypoczynek, a kilka godzin dziennie przeznaczono na pogłębianie umiejętności niezbędnych w dalszej pracy. Część wykładów organizowano oddzielnie czyli na szczeblu

centralnym. Lektorami byli pracownicy Zarządu Głównego ZMW, działacze partyjni i społeczni. Pozostałe wykłady każda grupa zorganizowała we własnym zakresie. Nauczycieli podzielono na sekcje według zainteresowań. Były więc sekcje: plastyczna, fotograficzna, taneczna i teatralna. Zajęcia w sekcjach prowadzili zaangażowani specjaliści. Każdy miał limit w wysokości 20 godzin lekcyjnych. Wizytowałem kilka zajęć na tym obozie i chociaż 20 godzin to naprawdę niewiele, mogę stwierdzić, że zajęcia spełniły pokładane w nich nadzieje. Uczestników obozu nauczono obchodzenia się z aparatem i materiałem fotograficznym w sekcji plastycznej zdobyli podstawowe umiejętności przydatne przy robieniu gazetki i fotogazetki, dekorowaniu sal itd. Uczestnicy sekcji tanecznej poznali kilka podstawowych tańców, dowiedzieli się czegoś o historii tańca i o zachowaniu się na zabawie, balu, dansingu. I wreszcie w sekcji teatralnej, oprócz wiadomości ogólnych o teatrze, zajęcia obejmowały także i takie umiejętności, jak praca z aktorem-amatorem, podstawy reżyserii i scenografii. Jak już wspomniałem, dwadzieścia godzin na sekcję to niewiele, jednak wiadomości zdobyte niewątpliwie ułatwią nauczycielom pracę w ich środowisku. Oprócz zajęć, grupa białostocka obejrzała wystawę malarską, w Operze Bałtyckiej wysłuchała „Madame Butterfly”, i wreszcie obejrzała dwa spektakle dramatyczne.

Podobny turnus dla 40 nauczycieli miał miejsce w sierpniu również w Sopocie. Tyle jeśli chodzi o obozy or-

ganizowane centralnie. Natomiast nad ślicznym jeziorem Jędrzelewo, w miejscowości Stare Juchy koło Elku, już od trzech lat organizuje obóz dla uczniów szkół średnich i aktyw gromadzki ZMW — Zarząd Wojewódzki. Podczas trzech turnusów w Starych Juchach odpoczywało i zdobywało wiadomości potrzebne w pracy organizacyjnej 240 uczniów szkół średnich, 30 uczniów szkół przysposobienia rolniczego, 140 działaczy i aktywistów ze wsi. Piękna miejscowość, znakomite urządzone obozy i właściwy dobór kadry zapewniły uczestnikom obozu wypoczynek i rozrywkę. Wycieczki do Kętrzyna i Giżycka, kajaki, ogniska, kąpiel — to tylko jedna strona działalności obozowej. Druga to niezbyt intensywne, ale rzetelne szkolenie.

Oczywiście dużo zależało od pogody. Jeśli była dobra, większą część dnia poświęcano wodzie. Jeśli gorsza — więcej zajęć. Duże zainteresowanie wzbudzały zajęcia z zakresu higieny. Bardzo ciekawie wypadły spotkania z prof. Kaweckim, gorącym patriotą Mazur, który godzinami opowiadał o historii regionu i o walce Mazurów o polskość.

No i wreszcie ostatnia forma wypoczynku wakacyjnego, obozy wędrownie, o których już wspominałem — powoli zdobywają sobie prawo obywatelstwa. W tym roku było ich 7, to niewiele, ale jeszcze do niedawna nie było ich wcale. Oprócz wędrowki najpiękniejszymi szlakami turystycznymi: piechotą, rowerem, pociągami — uczestnicy obozów brali udział w akcji żniwnej, pomagali PGR i spółdzielniom produkcyjnym, urządzali ogniska i występy.

Lata tegorocznego nie zaprzepaszczone. Zrobiono wiele, zdobyto nowe doświadczenia. Przekazano sporo potrzebnych wiadomości. Tegoroczna akcja letnia jest niewątpliwie pozycją na plus w bilansie działalności ZW ZMW w Białymstoku.

Foto A. Zdrodowski



Sekcja teatralna grupy białostockiej na zajęciach w Sopocie

tanie — Nie, nie tu, koło Stargardu, jest tam taka równina — odpowiada jakiś poinformowany pasażer.

Ten pasażer, nasz sąsiad w autobusie, to młody, czerniawy mężczyzna, repatriant z Wołynia, obecnie stały mieszkaniec Elbląga i pracownik tamtejszego PKS. Jedzie na urlop z żoną i małym synkiem. Chce odwiedzić różnych członków rodziny, rozsianych po Polsce, pokazać żonie Warszawę, zawadzić może też o Lublin. Ma tam krewnych i sam mieszkał jakiś czas przed dziesięciu laty.

— A to pan Lublina nie pozna: nowe dzielnice, asfalt, jarzeniówki — zaczynamy mu relacjonować, ożywieni żarliwym (sama się temu dziwię...) lubelskim patriotyzmem.

Nie masz to jak wyjechać... bodaj za rogatki.

Anna Tatarkiewicz



# O MARKSISTOWSKĄ SYNTEZĘ W NAUKACH SPOŁECZNYCH

(Dokończenie ze str. 1)

krajach socjalistycznych, jak i w kapitalistycznych. Przykładem może tu być „Historia myśli politycznej” pod redakcją Keczekiana — wydana w ZSRR. Synteza tego rodzaju posiada dobre i złe strony. Pozytywną stroną tego typu opracowań jest możliwość dokładnego zbadania odpowiedniego wycinka przez zajmującego się danym problemem specjalistę, a więc większa w pewnym sensie fachowość w opracowaniu poszczególnych zagadnień. Ujemną natomiast stroną tego typu pracy zespolonej jest możliwość naruszenia proporcji w poszczególnych jej partiach, różny styl i sposób wyrażania myśli przez poszczególnych autorów. To właśnie można by zarzucić dziełu zbiorowemu pod redakcją Keczekiana.

Innym przykładem takiej syntezy może być „Historia filozofii” pod redakcją Aleksandra. Dzieło to, pisane przez kilku autorów, wykazuje również pewne dysproporcje. Na tle doskonałe opracowanie starożytności stosunkowo słabiej wypadła okres średniowiecza; nad zróżnicowaną całością dominuje jednakże wyraźnie osobowość naczelnego redaktora i głównego autora, co czyni pracę bardziej zwartą i całościową.

Również na Zachodzie zbiorowe opracowania w naukach społecznych są stosowane, aczkolwiek może mniej rozpowszechnione niż w krajach socjalistycznych. Przykładem tego niech będzie wielotomowa „Cambridge History”, która mimo nierówności i pewnych dysproporcji stanowi obszerny i doskonały materiał historyczny. Tego typu opracowaniem, choć na mniejszą skalę, jest również wydana w ostatnich latach „Historia Polski”.

2. Synteza dokonywana przez jednego autora. Ten sposób pisania stwarza ogromne trudności dla autora, który siłą rzeczy nie może być znawcą we wszystkich objętych syntezą dziedzinach; praca taka posiada jednak tę ogromną zaletę, że pozwala na konsekwentne ujęcie całości problemu z punktu widzenia koncepcji autora. Praca taka stanowi zwykle równocześnie „credo” naukowe i filozoficzne pisarza, który na podstawie odpowiedniego materiału wysnuwa zgodne ze swoimi poglądami wnioski. Dlatego też w takich opracowaniach na plan pierwszy wysuwać się musi zdolność autora do generalizowania, uogólniania wielu faktów i pokazywania prawidłowości. Mniejsze natomiast znaczenie posiadają tu szczegóły i drugorzędne fakty, które stanowią wprowadzenie materiał dla ogólnych wniosków, są jednak tylko tłem a nie celem pracy. Na Zachodzie ten typ opracowań zdobył sobie w naukach społecznych już dość dawno prawo obywatelstwa, czego przykładem mogą być dzieła Sabine'a<sup>1</sup>, Catlina<sup>2</sup> i wielu innych.

W Polsce można wymienić np. „Historię filozofii” Władysława Tatarkiewicza, „Historię powszechną państwa i prawa” Koranyi'ego czy też opracowaną częściowo i wydaną ostatnio serię z historii myśli politycznej G. L. Seidlera.

Jeśli idzie o wspomniane wyżej opracowania polskie, to każdy z wymienionych przykładowo trzech autorów ujmuje swą problematykę w sposób typowy dla swej indywidualności oraz metody naukowej.

I tak na przykład Koranyi w swej obszernej pracy przedstawia szczegółowo proces rozwoju instytucji prawno-politycznych. Uderza tu przede wszystkim erudycja autora, czytelnik jednak musi bardzo uważnie czytać się w tekst, aby uchwycić właściwe proporcje przedstawionych problemów.

Tatarkiewicz stworzył najobszerniejszą dotychczas i najpełniejszą z polskich opracowań historię filozofii jako idei bez powiązania z tłem historycznym epoki, lecz co najwyżej w oparciu o zwarte i ciekawie ujęte życiorysy filozofów przeszłości. Porywa tu żywość obrazu i jasny, klarowny styl, choć z punktu widzenia metodologii marksistowskiej nie sposób zgodzić się z autorem co do konstrukcji samego dzieła i wielu uogólnień.

Prace Seidlera stanowią część wielkiej syntezy, podjętej przez autora przed wielu laty na temat historii myśli politycznej. Pisane konsekwentnie z pozycji marksistowskiej wyróżniają się zwartą koncepcją i doskonałą formą.

Skoro nie ulega dziś wątpliwości, że synteza w naukach społecznych jest

nadal potrzebna i możliwa, należałoby zapytać, jakie wymagania trzeba postawić autorowi podejmującemu się próby uogólniającego przedstawienia procesów społecznych.

Cztery wydają się najistotniejsze:

Po pierwsze — badacz, który rozpoczyna opracowanie jakiejś syntezy zjawisk społecznych, musi posiadać dość odwagi dla przeprowadzenia takiej pracy, która niewątpliwie stwarza może wiele okazji do krytyki, a nawet ataków ze strony przeciwników. Wszelka synteza bowiem, jak mówiliśmy wyżej, grozi pewnymi uproszczeniami i musi pomijać fakty i dane drugorzędne, to zaś stanowić może zawsze przyczynę ostrej nawet krytyki ze strony analityków zajmujących się pewnymi wąskimi problemami. Wnioski, do jakich prowadzi musi synteza, budzić mogą również szereg wątpliwości u różnych krytyków. Jednym słowem — samodzielne pisanie prac z dziedziny nauk społecznych, które za cel stawiają sobie syntezę, stwarza zawsze o wiele więcej sposobności do krytyki autora niż prace o tematyce węższej, przy czynki historyczne i monografie.

Po drugie — bardzo istotnym wymaganiem syntezy społecznej jest posługiwanie się przez badacza odpowiednim warsztatem naukowym. Należy pamiętać, że jeśli idzie o prace z historii filozofii, myśli społeczno-politycznej czy ekonomicznej — to wymaganie bazy źródłowej dotyczy przede wszystkim samej doktryny, a nie tła historycznego. Poszczególne idee przeszłości winny być przedstawiane w miarę możliwości w oparciu o oryginalne teksty i źródła, natomiast jeśli idzie o podłoże historyczne danej epoki, z którego te idee wyrastają, to nie można wymagać tej samej metody postępowania, co w pracach historyczno-monograficznych. Jest rzeczą nieuchronną i najzupełniej dopuszczalną korzystanie w takich wypadkach ze źródeł pośrednich, a nawet dobrych opracowań podręcznikowych, z których można zaczerpnąć wiele danych dotyczących epoki. Trzeba pamiętać, iż głównym celem tego typu prac jest pokazanie rozwoju idei, teorii społecznej czy doktryny politycznej, a nie dokładne, źródłowe rozważania z dziedziny historii gospodarczej czy innych dyscyplin historycznych. Dlatego też zarzuty, jakie nieraz stawiają historycy pracom z zakresu historii filozofii czy doktryn politycznych, wynikają z nieporozumienia, gdyż warsztat naukowy jest tu odmienny, a celem pracy jest synteza idei i ukazanie ich roli na tle epoki, a nie fakty historyczne.

Sądze, iż jeśli wymaganie oryginalnych źródeł dotyczących doktryny musi być tutaj zdecydowanie utrzymane, to dobór źródeł do tła historycznego pozostawić należy autorowi. Zauważyć trzeba, że pokazanie rozwoju idei na tle podłoża historycznego, a więc panujących stosunków społecznych i ekonomicznych danej epoki, stanowi zasadę stosowaną nie tylko przez teoretyków marksistowskich. Spotyka się czasem ten sposób pisania również i w krajach kapitalistycznych i co ciekawsze — tego typu prace zdobywają tam nieraz dużą popularność. Dowodem tego niech będzie wspomniana już praca Sabine'a z historii doktryn politycznych, która doczekała się szeregu wydań angielskich i tłumaczeń na języki obce. Równocześnie jednak pojawiają się tam poważne pozycje z tego zakresu pisane bez uwzględnienia podłoża historycznego i dotyczące tylko idei, jak na przykład praca szwajcarskiego historyka myśli politycznej — Theimera<sup>3</sup>.

Po trzecie — wymaganiem, jakie trzeba postawić współczesnej syntezie społecznej, jest potrzeba oceny omawianych idei i ich oddziaływanie. Problem to bardzo istotny, można bowiem trzymając się tradycyjnej zasady „bezzstronności” w nauce ograniczyć się tylko do czystego opisu i referatu poglądów dawnych myślicieli. Taki, pozbawiony osobistego stanowiska autora, referat może zawierać wprawdzie wiele danych i być bardzo szczegółowy, jednak z punktu widzenia metodologii marksistowskiej i wymagań nauki współczesnej czysty opis i najdokładniejsze choćby przedstawienie poglądów poprzedzających nas teoretyków nie może spełnić zadania, jakie stawiamy naukom społecznym. Czytelnik bowiem, zaznajamiając się z bardzo szczegółowym referatem poglądów oraz idei przeszłości, pragnie czegoś więcej niż samego opisu. Uważny czytelnik dąży do wy-

robienia sobie ogólnego poglądu i stwierdzenia jakiejś oceny, która powinna być, jeśli już nie zupełnie wyraźnie sformułowana, to chociaż podsunęta przez autora. Oczywiście problem oceny wywołuje konieczność przyjęcia odpowiednich kryteriów. Ocena musi najwyraźniej ujawnić osobiste stanowisko autora i pozwala niejednokrotnie na zaliczenie go do tej lub innej szkoły naukowej.

Marksistowska synteza społeczna nie potrzebuje uciekać od ocen, gdyż kryteria wartościujące zostały dawno przez metodologię marksistowską wypracowane i od badacza współczesnego wymaga się przede wszystkim umiejętności posługiwania się nimi i właściwego, a nie dogmatycznego, stosowania w praktyce.

Po czwarte — wymaganiem, którego nie można lekceważyć w pracach z zakresu nauk społecznych, jest jasność stylu. Tendencje odkrycia za wszelką cenę prawdy historycznej doprowadziły kiedyś do zlekceważenia formy i stylu w naukach społecznych, a nawet do pogardliwego stosunku wobec problemu właściwej konstrukcji zdań i sposobu wyrażania sądów przez autora. Należy zdać sobie wyraźnie sprawę z tego, że wszystkie prace z zakresu nauk społecznych stanowić winny nie tylko krok naprzód na drodze pogłębienia prawdy naukowej, lecz równocześnie oddziaływać na czytelnika i same z kolei stać się winny pewną specyficzną formą ideologii. Dlatego też komunikatywność i sposób pisania odgrywać muszą tutaj o wiele większą rolę niż w naukach przyrodniczych. Prace uogólniające zjawiska społeczne, przedstawiające prawidłowości rozwoju społeczeństwa i poświęcone rozwojowi myśli ludzkiej winny być kształtujące i aby ich rola była całkowicie spełniona, muszą być odpowiednio sugestywne.

Niestety, brak troski o sposób wyrażania myśli w pracach naukowych stał się powszechny. Utrwaliło się nawet niesłuszne mniemanie, że zawilgość i niejasność dowodzi głębi i wnikliwosci pracy. Szczególnie dotk-

liwie odczuwa się lekceważenie formy w pracach z zakresu nauk społecznych, które często swym stylem odstrasza czytelnika. Stara prawda, że największą sztuką jest pisać jasno i prosto o rzeczach trudnych i skomplikowanych — jest tutaj szczególnie aktualna.

Z powyższych rozważań nasuwa się wniosek ogólny: Synteza w naukach społecznych staje się znowu potrzebna i jest w pełni możliwa. Jeśli wiek XIX wypaczał nieraz prawdę przez zbyt powierzchowną syntezę, to w wieku XX powstało odwrotne zjawisko — w imię prawdy szczegółowej gubi się często syntezę.

Marksizm przypisuje szerególną rolę naukom społecznym. Stanowią one swoistą formę ideologii i stąd rolę ich wykracza daleko poza czysty opis i monografię. Zadaniem ich jest dać ogólny pogląd na rozwój różnych zjawisk społecznych w oparciu o naukowe kryteria i właściwą metodologię. Wydaje się, że wkraczamy ponownie w okres odnowy syntezy społecznej zarówno w świecie socjalistycznym, jak i w kapitalizmie.

Próby syntezy uczonych burżuazyjnych opierają się zawsze na obcych marksizmowi założeniach ideologicznych, co więcej — zmierzają do uzasadnienia błędności marksizmu. Stąd paląca i pilna potrzeba marksistowskiej syntezy w naukach społecznych. Każda praca tego typu winna stanowić szczebel do coraz pełniejszego i gruntowniejszego opracowania. Marksistowska synteza w naukach społecznych ma bowiem przed sobą do spełnienia nie tylko doniosłą rolę naukową, lecz równocześnie stanowić winna oręż ideologiczny w walce z fałszywymi próbami interpretacji zjawisk społecznych ze strony burżuazyjnych ideologów.

Leszek Kasprzyk

1 G. H. Sabine: „A History of Political Theory” New York 1937.  
2 G. Catlin: „The Story of the Political Philosophers” New York 1947.  
3 W. Theimer: „Geschichte der politischen Ideen” Bern 1955.

## BIBLIOTEKI WIEJSKIE

POMIMO licznych eksperymentów kulturalnych, o których głośno ostatnio, szumnych akcji w tej dziedzinie w rodzaju „akcji — szkoła”, zasadniczą bazą działalności kulturalnej w środowisku wiejskim pozostaje biblioteka. Ciemna, przyćmiana nieraz izba, zawalona regałami książek, ma w sobie taką siłę, że żadna inna placówka kulturalna nie wytrzyma z nią konkurencji. Jej systematyczna, nieefektywna praca przynosi szerokie rezultaty, których nie zapewnia głośne konkursy i błyskotliwe, ale powierzchowne formy.

Konkursy to my lubimy. Ostatnio zebrało się ich nielicho: „Współzawodnictwo placówek kulturalno-oświatowych”, „Wiedza pomaga w życiu”, „Konkurs historyczny”, „Piękno na co dzień”, „Złoty kłosa dla twórcy — srebrny dla czytelnika” i szereg pomniejszych. Śmiało można urządzić konkurs na konkurs. A przecież każdy wymagał prowadzenia dokumentacji, sprawozdań, agitacji. Kiedy tu pracować? A przecież każdy wymagał pewnych nakładów finansowych, których brakowało nieraz w tak podstawowej dziedzinie, jak zakup książek. Stare przysłowie mówi, że dwa grzyby robią z barszczu zupę grzybową. Jeden konkurs, od czasu do czasu, stanowi atrakcję, urozmaica pracę placówek, ale rój konkursów staje się plagą, drażni czytelnika, utrudnia pracę. W ogóle miła się to jakoś z samym pojęciem słowa „konkurs”, devaluuje jego znaczenie.

Mimo to biblioteki pracują. Nie przestają na samym wypożyczaniu książek, prowadzą działalność kulturalno-oświatową, często w kompletnym osamotnieniu. Z pewnością wyniki nie są olśniewające, lecz trzeba wziąć pod uwagę specyficzną sytuację, w jakiej znalazła się kultura na wsi, zepchnięta na boczny, zardzewiały tor. Średnio 10% społeczeństwa wiejskiego należy do bibliotek, ale cyfra ta nie jest miarodajna. Książka, wypożyczona przez członka rodziny zarejestrowanego czytelnika, bardzo często wędruje wśród wszystkich domowników i w rezultacie czytających bywa nieraz pięćdziesiąt więcej, niż to wynika ze statystyki.

Biblioteki mogłyby objąć swą działalnością wszystkich tych „ukrytych” amatorów lektury, mogłyby rozszerzyć

JACEK WOJCIECHOWSKI

repertuar form swej pracy, jej zakres, gdyby miały po temu odpowiednie lokale. Marzeniem każdego bibliotekarza jest pomieszczenie dwuizbowe, z czytelnią, z możliwością wprowadzenia wolnego dostępu do półek, który znacznie uatrakcyjnia kontakt z książką. Cóż, kiedy ciasnota jest potworna, a lokale mieszczące się nieraz w najbardziej fantastycznych miejscach. Wdziałem biblioteki wiejskie w kurniku, wspólnie z ustępami, na strychu, w piwnicy, w norze bez okien i na werandzie. Oczywiście, są też i piękne, „wymarzone” lokale dwuizbowe, są jednak również bezdomne biblioteki mieszczące się kątem w klasach lub gromadzkich radach.

Jakże często ciasnota uniemożliwia normalne urządzenie wnętrza i trzeba się dobrze nagłowić, żeby pewnego dnia regały nie wyładowały na podwórzu. O tym wszystkim musimy pamiętać, oceniając pracę bibliotek gromadzkich. Jeżeli kiedyś usłyszycie, że biblioteka na wsi „zgrupowała” czytelników, nie wruszajcie obojętnie ramionami. Być może, że zdołano ich zainteresować książkami zgromadzonymi na powierzchni 6 m<sup>2</sup>, a nawet zachęcić do przyjsia tam na dyskusje. Istne czary!

Działalność działalnością, ale nie powinna ona za bardzo odchodzić od podstawowej formy pracy biblioteki — upowszechniania literatury. Czasem zapomina się o tym, a trzeba tu wykonać ogromną pracę, bo gusty czytelników pozostawiają wiele do życzenia. Ciekawe, że pomimo tylu lat pamięta się, nawet na wsi, o pani Mniszek i jej „nieśmiertelnym dziele”. Zła sława owocu zakazanego potęguje apetyt i nie zawsze potrafimy odpowiednio wyrobić inny smak. Oto obrazek:

— Czy jest taka książka „Trędowata”?

— Nie, nie ma. Ale jest... „Król trędowaty”.

— A to poproszę.

Chyba nie o to chodzi. Beztraska i spryt nie uratują sytuacji. Rekordy popularności bije książka Rodziewiczówna i wiekowy Kraszewski. Nie ujmując nic wielkiemu pisarzowi, trzeba

(Dokończenie na str. 9)



**B**RYLANT architektury, doskonałe współgrający z pięknym otoczeniem — tymi słowy wyraził się, patrząc na poddawany końcowej kosmetyce obiekt rzeszowskiej stacji telewizyjnej na Suchej Górze pod Krosnem, inżynier architekt Wacław Schwarz, dyrektor rzeszowskiego „Mia-stoprojektu”. Słuszność jego opinii potwierdzili zgodnie członkowie Wojewódzkiego Społecznego Komitetu Budowy Rzeszowskiej Telewizji, którzy ostatnio wizytowali plac budowy.

Termin uruchomienia rzeszowskiej telewizji jest już bardzo bliski. Wielotysięczna rzesza entuzjastów XI Muzy z całego województwa rzeszowskiego oczekuje tego momentu z wielką niecierpliwością. Bo też jest to jak najbardziej uzasadniony stan podniecenia. Spowodowały go różne koleje losu budowy, obfitujące w „trudności nie do przewyżnienia” i radosne chwile zwycięstw nad nimi. A trudności było sporo.

Z apelem budowy stacji telewizyjnej wystąpiły przed czterema laty „Nowiny Rzeszowskie”. Słuszną myśl poparł Komitet Wojewódzki PZPR, nadając kierunek działania dla pierwszej telewizyjnej forpoczty. Powołany został Wojewódzki Społeczny Komitet Budowy Stacji Telewizyjnej, a na jego czele stanął wiceprzewodniczący Prezydium WRN, członek Egzekutywy KW PZPR, Mieczysław Kaczor.

Teraz, z perspektywy czterech minionych lat, powiedzieć to sobie można szczerze: myśl wybudowania stacji telewizyjnej za społeczne świadczenia była wówczas niezwykle śmiała, żeby nie używać określenia — heroiczna. Koszt budowy przekracza 30 milionów złotych, z czego więcej niż połowę należało zgromadzić w województwie. Drugą część tej kwoty zobowiązał się pokryć Centralny Zarząd Radiostacji i Telewizji. Nie zrażano się jednak wysokością świadczeń. Decyzja zapadła: zgromadzimy fundusze. Wybudujemy.

Posypały się indywidualne datki pieniężne. Wysokie kwoty na budowę rzeszowskiej stacji telewizyjnej zaczęły przekazywać na konto społecznego komitetu budowy liczne zakłady pracy Rzeszowszczyzny. Dobry przykład ofiarności w tym zakresie dała załoga rzeszowskiej WSK, która przekazała blisko 800 tysięcy zł. Rady narodowe wszyst-

kich szczebli wezwało do świadczeń Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Rzeszowie, przeznaczając z nadwyżki budżetowej na rzecz budowy teleostacji 1 milion złotych. Nie poskapiło też pomocy finansowej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej... Ale ostatecznie sprawę załatwił Wojewódzki Komitet Społeczny Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy, który zagwarantował pełne pokrycie dla tej jakże przydatnej dla rozwoju kulturalnego województwa rzeszowskiego inwestycji. Pieniądze już były...

Leż tuż wyniki pierwsze trudności. Zgodnie z obowiązującymi przepisami nie można było wiązać inwestycji budżetu centralnego z budżetem terenowym, a budowa stacji telewizyj-

perwy na trasie Rzeszów — Warszawa — Rzeszów w sprawie narodzin rzeszowskiej XI Muzy. I piękna społeczna idea zaczęła przybierać coraz bardziej realne kształty.

W warszawskim Biurze Budowy i Rozbudowy Radiostacji i Telewizji, pod kierownictwem generalnego projektanta, mgr inż. architekta Jerzego Świącha, rodził się projekt teleostacji. Na Suchej Górze pod Krosnem, w najdoskonalszym, zdaniem fachowców, miejscu zlokalizowania stacji telewizyjnej dla województwa rzeszowskiego, przystąpiono do zagospodarowania terenu, budowano drogę, której dotychczas nie było. Wreszcie na placu budowy zjawili się ekipy pracowników Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa

na górę spychacz gąsienicowy... Na górę nie ma ujęcia wody. Trzeba ją było dowozić cysternami. A trudności z zaangażowaniem podwykonawców, a trudności materiałowe, a niekompletna wciąż dokumentacja, a praca na górze przy słynnych dukielskich wichrach i silnych mrozach, a...

W słowach inż. Kazimierza Hołuki nie ma cienia przesady. Tak było istotnie. Toteż Wojewódzki Społeczny Komitet Budowy Stacji Telewizyjnej wysoko ocenił wysiłek załóg budowlanych i kierownictwa RPBP, wyrażając gorące podziękowanie za wykonaną pracę.

Obok okazałego, na wskroś nowoczesnego, obiektu teleostacji, wysoko w górę, aż pod chmury, strzela splotem telewizyjnych anten nadawczych, pierwsza tego typu w Polsce wieża żelbetowa, licząca blisko 100 metrów wysokości. W rekordowo szybkim czasie wybudowali ją pracownicy Przedsiębiorstwa Budowy Pieców Przemysłowych z Nowej Huty. Na jej konstrukcję zużyto 55 ton żelaza. Blisko tonę dynamitu trzeba było zużyć, żeby odstrzelić twardą skalę podczas robienia wykopów pod fundament wieży. Dziś wysmukły żelbetowy kołos widoczny jest w promieniu wielu kilometrów. Ze szczytu wieży popłynie telewizyjny program do setek tysięcy telewizorów w całym południowo-wschodnim zakątku kraju.

Zanim jednak to nastąpi... Na ten temat rozmawiałem właśnie z przewodniczącym Wojewódzkiego Społecznego Komitetu Budowy Stacji Telewizyjnej, tow. Mieczysławem Kaczorem:

Przemysłowego, generalnego wykonawcy obiektu.

Praca budowlanych nie była łatwa. Nie wszystkie terminy były dotrzymane, na co jednak miejscowa prasa rzeszowska z miejsca reagowała licznymi publikacjami typu mobilizującego. Nie warto do tego wracać. Piękny obiekt rzeszowskiej stacji telewizyjnej nazwany przez inż. Świącha „brylantem architektury” — zdobi już piękną krośnieńską ziemię. Budowniczym należą się słowa uznania. A o ich trudzie świadczy wypowiedź kierownika Grupy Robót RPBP Krosno, inż. Kazimierza Hołuki:

— Praca nasza przebiegała w niezwykle ciężkich warunkach terenowych. Ogromne kłopoty mieliśmy z transportem. Fatalna, w początkowym zwłaszcza okresie, droga, która właściwie nigdy przedtem nie była drogą, nastęrczała pracownikom transportu wiele, wiele kłopotu, przysparzała dodatkowych czynności. Wystarczy jeśli wspomnę, że na blisko półkilometryowym wzniesieniu wszystkie pojazdy, z połową tylko ciężaru, musiał wyciągać

— Jakkolwiek termin uruchomienia stacji — mówił tow. Kaczor — jest już stosunkowo krótki, to jednak oczekuje nas jeszcze wiele pracy. Częściowo nasze plany pokrzyżowała zmiana formy przekazywania ogólnopolskiego programu telewizyjnego na Suchą Górę. W pierwszej wersji program mieliśmy otrzymywać za pośrednictwem telekomunikacyjnego kabla koncentrycznego z Katowic. Niestety, z powodu przedłużającej się budowy tego kabla (— notabene — ma on zasięg poza granice naszego kraju) zmuszeni byliśmy do zmiany wersji połączenia z ogólnokrajowym systemem telewizyjnym, co spowodowało szereg dodatkowych trud-

(Dokończenie na str. 13)

## TELEWIZJA dla Ziemi Rzeszowskiej

JULIAN WOŹNIAK

nych powinna być, i w rzeczywistości w 50 proc. jest, finansowana z budżetu centralnego. Znalazła się na to rada. Na wniosek komitetu budowy sprawę tę załatwiła generalnie uchwała rządu. Uporano się z jednym — trzeba było się martwić o drugie, trzecie, czwarte... Nie zaplanowana wcześniej inwestycja nie mieściła się w tzw. portfelach zamówień ani biur projektowych, ani wykonawców. A tutaj przecież chodziło o czas.

Wszelkimi możliwymi i niemożliwymi na pozór sposobami i środkami Wojewódzki Społeczny Komitet Budowy Stacji Telewizyjnej szczęśliwie pokonywał przeszkodę po przeszkodzie. W sprawę zaangażował się osobiście członek Komitetu Centralnego, I sekretarz KW PZPR w Rzeszowie, tow. Władysław Kruczek, pomagał jak mógł wiceprezes Rady Ministrów Piotr Jaroszewicz. Tow. Mieczysław Kaczor oraz członkowie komitetu budowy: inż. J. Proskurnicki, mgr Bochenek, inż. Wacław Schwarz, inż. Tadeusz Podlesny, kierownik Wydz. Kultury WRN Leonard Czepik i in. — kursowali bez

## 1000-lecie po jubileuszach stąpa...

(Dokończenie ze str. 4)

działam dane dotyczące stuletniego lekarza Rzeszowszczyzny dr Ignacego Bieleckiego, rodem haczwianina, a także dokładne dane o losach całkowicie już młodego pokolenia, haczwiankiej młodzieży, która po wywołaniu kończyła wyższe studia. Jest to najprawdziwszy obraz przemian społecznych, powszechnych awansów naszego czasu. Tak na co dzień, a nie z okazji jubileuszu, potwierdza je... specjalny autobus, który każdego dnia odwozi stąd do pracy w Krośnie i innych miejscowościach, a następnie przywozi z powrotem grupę haczwian, jak się to określa — „zatrudnionych poza rolnictwem”.

\*

**W**SRÓD jubileuszy, po których stąpa na Rzeszowszczyźnie Tysiąclecie, odnotować wypada 80-lecie „Towarzystwa Tkaczy” w Korczynie, wsi krośnieńskiego powiatu. Nazwa założonego w roku 1882 „Towarzystwa Tkaczy w Korczynie” przetrwała do dzisiaj, gdy widnieje nad nią firma aktualna: włókiennicza spółdzielnia pracy.

Będąc na miejscu, sięgnęłam do pracownicy kroniki, jaką opracował obecny kierownik szkoły podstawowej nr 2 w Korczynie, ob. Franciszek Pólichopek. Udało mu się zgromadzić archiwalne dokumenty „Towarzystwa Tkaczy”, księgi udziałów z roku 1903, księgi protokółów posiedzeń Rady Nadzorczej. Obecny prezes spółdzielni uzupełnił te materiały autentycznymi medalami i dyplomami honorowymi, które za swe znakomite wyroby llniane korczyńscy tkacze otrzymywali nieprzerwanie od roku 1882. Są medale i dyplomy z powszechnych wystaw krajowych we Lwowie, pierwszej zaś medal uzyskał oni na Krajowej Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Przemyślu w r. 1882.

Taka to jest wieś tkacka, że już w XVIII wieku tkacze stanowili 80 proc.

całej ludności, a gdy Towarzystwo podjęło działalność, w okolicy na jego rzecz pracowało aż 1000 krosien.

Nie dziwi więc, że wśród 200-osobowej załogi obecnej spółdzielni większość to ludzie, których ojcowie i dziadkowie, a bardzo często matki i babki, warsztat tkacki ustawiony mieli w swych małych chatkach na poczesnym miejscu, jako główne źródło utrzymania. W obliczu rozbudowy i mechanizacji zakładów, forma produkcji chałupniczej kurczy się z roku na rok: „Korczyzna” zatrudnia obecnie około 28 chałupników.

I tutaj współczesność zdecydowanie bierze przewagę nad przeszłością. Wśród starych chat gęsto błyszczy czerwona cegła nowych domków. Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy wystawił blok mieszkalny dla pracowników spółdzielni całkowicie na wzór miasta.

Warto jednakże jubileusz spółdzielni połączyć z czymś trwalszym, ani-

żeli okolicznościowe imprezy czy wspominki. Zyczeniem mieszkańców wsi jest posiadać dom kultury. Oprócz spółdzielni włókienniczej, Korczyzna ma założoną przed pięć laty, spółdzielczą wywornię branży owocowo-warzywniczej oraz spółdzielcze zakłady wyrobów drzewnych. Ludzie zarobkują, budują się i słusznie pragną żyć coraz lepiej i kulturalniej.

Inspirująca rola powiatu na pewno dopomoże do podjęcia wspólnych inicjatyw w kierunku utworzenia wspólnymi siłami wspólnej placówki, służącej w przyszłości kulturalnemu dobru Korczyny.

Jest to bowiem chwalebny obyczaj rzeszowskich jubileuszy, którym patronuje Wojewódzki Komitet PZPR, Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu i Wojewódzka Komisja Obchodów Tysiąclecia, iż pozostawiają one po sobie ślad trwałe i pożyteczny...

Cecylia Błońska

## Biblioteki wiejskie

(Dokończenie ze str. 8)

przyznać, że jego popularność w dobie sputników świadczy poniekąd o ucieczce od aktualnej problematyki, o bardziej skomplikowanych sformułowań.

Być może trochę w tym winy samych autorów powieści współczesnych, którym czasem przyświeca idea oryginalności za wszelką cenę, nie zawsze idąca w parze z komunikatywnością dzieła. Ciężkawe, że arcydzieła znajdują jednak odbiorców, nawet na wsi. Hemingway czy Szolochow trafiają do czytelników, podczas gdy konta książek Kabatca lub Czeszki pozostają najęszcziej czyste. Fakt. Niemniej czytelnik nie umie przebrnąć przez trudniejszą formę, trzeba go tego nauczyć. Ze problematyką współczesną może stać się przedmiotem zainteresowania, świadczy duża popytność „Ożenku” Morzona. Następuje więc jakiś rozdźwięk pomiędzy opinią krytyki literackiej a opinią czytelnika, bo przecież właśnie „Ożenek” spotkał się z ostrą krytyką Jana Wiktora.

Bibliotekarze walcą ze złymi gustami, podsuwając wartościową klasykę książki pisarzy współczesnych, literaturę popularno-naukową. Czasem dochodzi do nieporozumień, ostrych starć, zabawnych sytuacji.

Pewien bibliotekarz podsunął „Wojnę i pokój” sędziwej czytelniczce.

— Co wy — oburzyła się — dajecie mi ruską książkę? Ja chcę polską.

— E, gdzieżby, matka, dawał wam ruskie książki. Przecież nie umiecie po rosyjsku!

— Ano nie — zgodziła się i niechętnie wzięła podaną książkę. Po tygodniu przyszła znowu. Po drugi tom.

Mówimy często „bibliotekarze”, ale nie zawsze wiemy, kim są ci ludzie. Przede wszystkim rzuca się w oczy młódcząca przewaga kobiet, pleć brzydka stanowi nie więcej niż 10% kadry bibliotekarskiej. Po drugie bibliotekarek w ścisłym tego słowa znaczeniu, a więc etatowych, jest niewiele, ich udział w zależności od powiatu i województwa waha się od 5% do 60%. W skali ogólnokrajowej jednak ogromna większość bibliotek gromadzkich ma obsadę ryczałtową i już to samo świadczy dobitnie o trudnościach, w jakich placówki te działają. Człowiek, który po całodziennym pra-

cy zamiast odpoczynku wykonuje dodatkowe obowiązki, ma prawo być zmęczony, nie dziwnego tedy, że niechętnie patrzy na wszelkie propozycje wielkich akcji. Jest zdolny do zwykłej, codziennej pracy, ale jej rezultaty są poważne, przewyższając często dorobek placówek etatowych. Jeśli bibliotekarze pracujący ryczałtowo potrafią wykrzesać z siebie dodatkową energię, nie czynią tego dla uzupełnienia pensji. Pobory bibliotekarskie są tak liche, że w żadnym stopniu nie stanowią rekompensaty włożonego wysiłku, jest to bowiem praca wybitnie społeczna. Poszukiwacze dodatkowych dochodów szybko przekonują się, że tutaj nie mają czego szukać, stąd tak znaczna płynność kadr. Ci, którzy zostają, czynią to li tylko z zamiłowania do działalności społecznej. Praca jest trudna, już sama szeroko rozbudowana dokumentacja (nawet tu nie unikniemy zmyślenia papierków) może przyprowadzić o palpitację serca, a jeszcze działalność popularyzacyjna, wypożyczanie, znoszenie humorów czytelników, błaganie o lokal i sprzęt.

Wśród bibliotekarek spotkać można różne zawody, przeważają nauczycielki i pracownice rad gromadzkich, czasem są to działaczki organizacji społecznych i politycznych, rzadziej pracownice zakładów produkcyjnych. Przeważa wśród nich wykształcenie średnie, ale nie brak mimo oficjalnych przepisów, ludzi bez matury. Znamienne, że wśród nielicznych magistrów, którzy zawędrowali na wieś, prawie nigdy nie znajdziecie bibliotekarza.

Ciężki to zawód, nie cieszący się poważaniem opinii publicznej, chociaż jego specyfika zmieniła się poważnie w ciągu lat. Są ludzie, którzy upodobali sobie tę pracę, poświęcili się jej z całym samozaparciem. Kiedyś, przejeżdżając w nocy przez zapadnię wieś, zobaczyłem światło w oknie biblioteki. Zaciekawiony co się tam dzieje o tak późnej porze, zajrzałem do wnętrza. Bibliotekarka myła podłogę, bo tego dnia miała bardzo dużo czytelników i nabocił. Nikt jej za to nie zapłacił, tego nawet nikt nie zauważył, pozostała tylko osobista satysfakcja. I dla tej satysfakcji, nie byskotliwych efektów lub wysokich nagród, kultura znajduje na wsi swych orędowników.

Jacek Wojciechowski



# RODZINNE KŁOPOTY

raz w udziale wielka szansa wejścia do historii na okres tygodnia. Miał on jak sen, pozostała tylko tablica pamiątkowa i nazwa placu przed gmachem — kolebką Manifestu PKWN. Ojcowie miasta żywili więc do budowy cementowni wielki sentyment, jaki niewątpliwie rodzice do najmłodszego dziecka. Nawet przy ustalaniu przydziałów zaopatrzenia wobec swoim ujęć byłoby tylko budowniczym niczego nie brakowało. Nie posiadali się z radości, gdy kilku robotników, inżynierów i techników weszło podczas wyborów do rad narodowych w mieście i okolicy.

Od tamtej rozmowy upłynęły trzy lata. Chyba czas na konfrontację nadziei z rzeczywistością. Stary Chełm, budowany w czasach, kiedy o perspektywicznych planach rozwoju władzom administracyjnym nawet się nie śniło, gnębie się teraz w wielkiej ciasnocie, chociaż okres martwoty w budownictwie mieszkaniowym skończył się w 1957 roku. Przyczyną są różnice w tempie budownictwa i uzupełniania strat zaludnienia. Mieszkańcy Chełma wywiązują się z tego drugiego zadania nazbyt gorliwie, zapewnili sobie pierwsze miejsce w wojewódzkiej tabeli przyrostu ludności. W konsekwencji przypada 7 osób na izbę o powierzchni kilkunastu metrów kw. W tym roku 715 rodzin złożyło podania o mieszkanie; 100 trzeba było załatwić odmownie. Doskonale rozwijająca się spółdzielnia mieszkaniowa oddała kilka bloków do użytku, lecz kłopoty z wykonawcami zmusiły ją do ograniczeń w przyjmowaniu członków. Zeszłego roku zamiast 140 izb wykończyła ona jedynie 57. W budownictwie Miejskiej Rady Narodowej powstało również kilka domów mieszkalnych, lecz o decydującej zmianie na lepsze będzie można mówić w Chełmie dopiero około 1965 roku, jeśli co rok miasto znacznie oddawać do użytku po 100 mieszkań. Do tego czasu śmielsze plany uporządkowania chełmskiej Starówki nie mogą być brane pod uwagę. Z konieczności trzeba więc wykorzystywać każdy kąt z dachem nad głową — dopóki się da. Z takich to przyczyn życie miasta ciągle jeszcze koncentruje się w najstarszej jego części, gdzie więcej jest drewnianych domków z ogródkami niż kamienic, pozbawionych kanalizacji i innych wygód. Starania o dokumentację dla sieci kanalizacyjnej

trwały całe lata; koszt budowy pochłonie bagatelkę — 100 milionów złotych. Ostatecznie jednak władza miejska dokumentację zdobyła, rozpoczęła nawet budowę kanału burzowego. Ale dzień, w którym stare miasto otrzyma kanalizację, jest naprawdę daleki.

Jaki ten stary Chełm jest taki jest, ale przynajmniej czują się w nim ludzie na własnych śmieciach. Bo prezentujące się z daleka tak okazałe osiedle kolejowe ze stu kamienicami o czerwonych dachach i ogromnym gmachem PKWN jest — de jure... budownictwem przyzakładowym władz kolejowych z Lublina, chociaż niektórzy nazywają tę część miasta Chełmem II. Władze miejskie mają tu jedynie prawo dzierżawcy, wpłacającego kolei milion złotych czynszu rocznego. W rezultacie kolej ma kamienice, a miasto ulice, co nie wychodzi na zdrowie osiedla. Mieszkania wewnątrz remontują właściciele, ulice należą do Miejskiej Rady Narodowej, ale klatki schodowe są już terenem bezpańskim. Od dwudziestu kilku lat nie remontowano budynków, toteż ich stan jest coraz bardziej opłakany. Lokatorzy wnoszą coraz energiczniej pretensje do Prezydium MRN. Tylko patrzeć jak zaczną rysować się mury osiedla. Łączy je z miastem piękna asfaltowa ulica, ale boczne między budynkami, to klasyczne polskie drogi, zarastające tu i ówdzie trawą. Po deszczu trudniej nimi przejść niż na głębokiej wsi.

Niecodzienny jest również podział ról między kolej a miastem w administrowaniu osiedla. Kolej ma prawo wystawiania przydziałów mieszkaniowych, ale eksmisja należy już do Prezydium MRN. W 1959 roku nadarzała się okazja do uporządkowania zawilej sytuacji. Wówczas Chełm otrzymał po raz pierwszy pokątną porcję kredytów na budownictwo mieszkaniowe. Dyrekcja kolei w Lublinie wystąpiła przy tej okazji z propozycją; przekazać nam wasze dotacje, a my zrzekniemy się całkowicie praw do osiedla. Za otrzymane od was pieniądze wybudujemy sobie bloki mieszkalne w Lublinie, do któ-

rych przeniosą się kolejarze dojeżdżający z Chełma do pracy na stacji Lublin. Ale jakże było w przededniu XV-lecia wyzwolenia rzekać się środków? Chełm chciał w tym uroczystym dniu zaprezentować się godnie jako stolica PKWN i kredytów nie odstąpił. Ząb czasu wgrzyzał się więc dalej w mury osiedla. Widząc to ojcowie miasta rozpoczęli po raz drugi pertraktacje z koleją, ciągnące się od trzech lat. Zdobyła się władza miejska nawet na rozpaczliwy krok — podjęła uchwałę, która nie uznaje dużej dzielnicy miasta za budownictwo przyzakładowe. Kolej również nie zasypiała gruszek w popiele. Na jej interwencję Prezydium WRN uchyliło w trybie nadzoru tę uchwałę. Władza chełmska jednak nie kapituluje. Odwołała się do prezesa Rady Ministrów, który z kolei upoważnił ministra gospodarki komunalnej do rozwiązania prawdziwego węzła gordyjskiego na organizmie stolicy PKWN. Radykalne cięcie jednak nie przychodzi. A czas robi na osiedlu swoje.

Najmłodsza część miasta nazywana Chełmem III, tj. osiedle mieszkaniowe cementowni, styka się prawie z gmachem PKWN. Tworzą ją piętrowe domki i kilka bloków mieszkalnych. Dzielnica ta rozrasta się, chociaż nie w takim tempie, jak przewidywano. Tutaj również wykonawcy zawodzą. Mieli w zeszłym roku oddać 309 izb, a wykończyli 206. Osłonić goliżnę świeżych murów i dodać uroku osiedlu mogłyby ogródki i zieleń. Lokatorzy osiedla nie zaliczają się jednak do miłośników takowej. Ogródki ich są zaniedbane, pojemniki na śmieci trzyma się często na ulicach. W takim stanie osiedle zapewni wprowadzić zalodze dach nad głową w warunkach o wiele lepszych od starego miasta, lecz ozdobą fabryki i Chełma nie jest. Szare jest ono jak cement portlandzki.

W ciągu trzech lat liczba mieszkańców Chełma wzrosła z 30 do 32 tysięcy. W owych dwóch tysiącach mieści się załoga cementowni. Rachuba na infiltrację elementu robotniczego w społeczeństwo miasta na razie zawodzi. Osiedle prowadzi własną, odrębną egzystencję. Inteligencja techniczna z fabryki szuka najczęściej rozrywki w Lublinie czy Warszawie. W erze masowej mechanizacji odległości nie grają żadnej roli. Robotnik zaś rekrutuje się głównie z podchełmskich wsi. W jego życiu występuje wyraźna grawitacja do rodzinnej zagrody. W niedziele i święta wybiera się przeważnie z rodziną na gospodarstwo ojca, matki czy teścia i odpoczywa tam lub pracuje zgodnie z dotychczasowymi nawykami. Dyrektor cementowni owszem, jest miejskim radnym, ale funkcję tę sprawuje raczej dla symbolicznego podkreślenia więzi fabryki z miastem. Na tym zaczyna się i kończy koegzystencja dwóch światów w jednym mieście.

Chełmianie starają się przyspieszyć wiele inwestycji pracami w czynie społecznym. Raz przy budowie nawierzchni ulicy Miejski Komitet Czynów Społecznych zwrócił się do fabryki o wypożyczenie spychacza. Prośbie stało się zażość, lecz komitet mocno zaskoczył rachunek wystawiony później za eksploatację maszyny, a opiewający na kilka tysięcy złotych. Sprawę musiała rozstrzygnąć aż Wojewódzka Komisja Arbitrażowa.

**T**AK wygląda od podszewki życie trójmiasta Chełma w okresie, gdy przygotowuje się ono po raz trzeci do swoich uroczystych dni. Zdradzają to rusztowania na siedzibie Prezydium MRN i świeża farba na murach starego Domu Kultury. Na pytanie, czy w Dniach Chełma bierze jakiś udział cementownia, dano mi tam odpowiedź: cementownia to miasto w mieście.

Planistyczny mariaż nie dochodzi zatem do skutku, ale nie warto rozdzierać szat z powodu bytowania w separacji. Dzisiejsza cementownia nie stanowi jeszcze ostatecznej formy kombinatu. Istnieją projekty budowy dwóch nowych pieców i specjalnego oddziału do produkcji kredy paszowej (hodowcy lubelscy uczeszą się z tego bardzo). Jeszcze większe zmiany

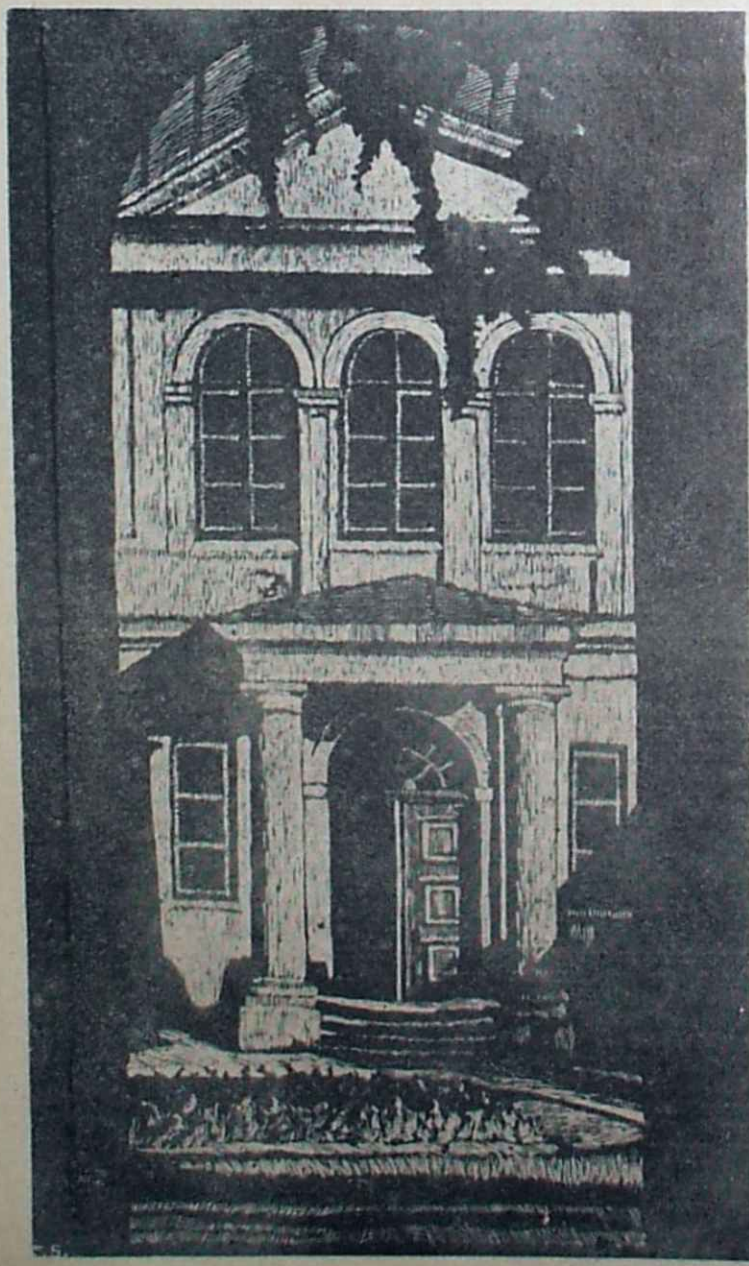
zarysowują się przed miastem. Perspektywiczny plan jego rozwoju przewiduje, że rozrosnie się ono do rozmiarów ośrodka urbanistycznego dla 75 tysięcy mieszkańców. Nie wszystkie musi iść od razu gładko jak po maśle. Targi o liczbę miejsc w kinie pamiątkowym również zajęły sporo czasu i opóźniły rozpoczęcie inwestycji. Ale ostatecznie Chełm otrzyma Dom Kultury wraz z takim kinem. Budowa w toku, a jej koszt oblicza się na 14 milionów. Stała się szkoła — pomnik 1000-lecia, przybito Technikum Rzemiosł Budowlanych z internatem, kiedyś przybędzie Technikum Ekonomiczne. Ba, chełmianie domagają się nawet filii jednej z lubelskich wyższych uczelni.

Muzeum Ziemi Chełmskiej, gniżdżące się dziesiątki lat w używanym z łaski kacie, dostanie wreszcie pomieszczenia przydzielone mu na papierze przed laty. Spółdzielnia krawiecka „Nasza Przyszłość” zbudowała sobie w końcu własny pawilon i zwolni lokal muzeum. Oby stało się to jak najprędzej. Niechże jedynym z pokolenia chełmskich entuzjastów, człowiek żyjący uczucia fanatyka dla swego miasta i jego przeszłości, twórca i kustosz muzeum, doczeka dnia, w którym tysiące zgromadzonych przez niego eksponatów znajdą się na właściwym miejscu. Takich entuzjastów było kiedyś w środowisku chełmskim więcej. Kazimiera Piarczacka i główny reżyser Aleksander Chwedczuk — to postaci, z którymi wiąże się świetne tradycje chełmskiego teatru amatorskiego. Wśród dzisiejszego pokolenia młodych można wskazać na Zbigniewa Abraszka i Tadeusza Kowalczyka, wokół których skupia się zespół instrumentalny przy Domu Kultury. Albo trójkę z klubu filmowego — Tadeusza Scibiora, Albinę Kuczyńską i Władysława Mroczka. Postępując się sprzętem z Domu Kultury, nakręcili oni krótkometrażowy film z życia swego miasta. Znacznie więcej realizatorów wymagało już sfilmowanie widowiska regionalnego o wartości dokumentalnej. Osnowę jego stanowią obyczaje, melodie i tańce weselne, które przekazała realizatorom 70-letnia gospodyni ze Strupina Dużego, Paulina Hołyszowa. Podczas pierwszych Dni Chełma oglądano widowisko w wykonaniu mieszkańców Strupina. Później zycznym opracowaniu melodii przez Eugeniusza Czarnotę. „Suite Chełmską” nakręcono na kolorową taśmę w wykonaniu młodzieży, chórów i orkiestry z chełmskiej szkoły muzycznej (taśmę trzeba było odesłać do wywołania w Warszawie, dlatego nie ujrzymy jej jeszcze podczas tegorocznych Dni Chełma). Takim hobby, pozwalającym wyczarowywać piękno zanikających obyczajów, utrwalając je w konkretnym obrazie, trzeba mocno przyklasnąć.

Dni Chełma zawdzięcza miasto Towarzystwu Miłośników Ziemi Chełmskiej, które wzięło na warsztat wszelką dokumentację dawnych dzieł, obyczajów, pieśni i wszystkiego, co wiąże się z pięknymi tradycjami starożytności. Do Towarzystwa tego należą i na Dni swego miasta przybijają co znamienitsi chełmianie, którzy wypłynęli na szersze wody życia. Zaliczają do nich m. in. pisarzy Wacława Mrozowskiego, Władysława Babinicza, malarza Kajetana Sosnowskiego (miał swoje wystawy nawet za granicą), chełmskiego poe Zdzisława Popowskiego. Na miejscu prowadzą skromny żywot zarabiając na chleb powszedni Wincenty Okon, wykładowca w Liceum im. Czarnieckiego, które tak chlubnie zapisało się w historii miasta, i chełmski satyrk Czesław Twardzik, zajmuje on stołek biuralisty w spółdzielni pracy wypuszczającej na rynek pasty czy jakieś konserwy. Chełmskie muzy nie śpią bowiem z rogu obfitości, służą im trzeba bezpłatnie w chwilach wolnych od obowiązkowych zajęć.

Czy o tych ludziach wie cokolwiek załoga cementowni? Na razie odpowiada jej egzystencja na zasadach pełnej autonomii. Prawdopodobnie dlatego, że nie wybiła jeszcze odpowiednia godzina. Sądzę, że przewodniczący Prezydium MRN w Chełmie mówiąc przed trzema laty o procesach życiowych w swoim mieście, pominał czynnik niezbędny w tym równaniu. Nie liczył się z czasem. Aliaż twardej metalu nie da się przyrzadzić na poczekaniu jak jajecznicy. Tym więcej czasu potrzeba do uformowania się ludzkiego aliażu w obrębie jednego chociażby miasta.

Krystyna Palys



TADEUSZ ŚCIBIOR — CHEŁM. LICEUM PEDAGOGICZNE (KALKOBROM)



**G** RĘDZIŃSKI do Lublina przyjechał z Lukowa, gdzie przez rok uczył matematyki w tamtejszej szkole żeńskiej. W ogóle nie miał określonego zawodu. Imał się różnych prac zarobkowych. W Krakowie prowadził szkołę tańca towarzyskiego (sam tańczył w ysmienicę), dawał lekcje, pisał odpłatnie prace magisterskie i referaty seminaryjne dla zamężnych, a niezbyt uzdolnionych kolegów, piosenki dla aktorów estradowych itp. W Lublinie miał punkt oparcia: mieszkała tu jego rodzina. Ojciec prowadził trafikę w hotelu Victoria.

Dziwny to był chłopak. Raz jeden w okresie świąt wielkanocnych odwiedził Gredzińskiego na jego serdeczne zaproszenie i wyniosłem z tej wizyty niesamowite wrażenie. Ojciec o wyglądzie fraszobliwego chrystusika z kapliczek górskich, dwaj bracia z jakimiś fizycznymi defektami — jeden daltonista, drugi zdaje się epileptyk, siostra — młoda dziewczyna na ciężko chora na jakąś nieuleczalną chorobę (wkrótce potem umarła — Gredziński napisał na temat jej śmierci piękny wiersz). Wszyscy ci ludzie snuli się bezgłośnie i prawie bezszelstnie po dużych, prawie pustych pokojach. I na tym tle Stanisław, wytworny, gościnny, roześmiany, czyniący honory domu przy stole, na którym stała duża butelka wódki, szklanki i absolutnie żadnej zakąski, nawet chleba. Pijaliśmy co prawda wtedy czasami pod intelekt, dla fasonu, ale to przyjęcie świąteczne nieco nas za-

krotnie trudno było się wyplatać. Był zawsze głodny wrażeń niezwykłych, niesamowitych.

Co się tyczy światopoglądu, to się przedstawiał za wierzącego katolika. Katolicyzm swój kształtował na sposób intelektualistów francuskich. To, co dzisiaj jest takie modne, a czego podówczas na ogół nie rozumiano. Gredziński przecież pierwszy u nas wprowadził Bernanos'a. Przetłumaczył jego jedno opowiadanie i napisał o tym pisarzu ciekawy artykuł. Było to drukowane w „Drodze” Horzycy. Dopiero później ukazało się „Pod słoncem szatana” — w przekładzie Wata.

Pracował przez pewien czas w redakcji endeckiego pisma „Głos Lubelski”; jako dziennikarz był rzutki i pomyslowy. Jego artykuły niejednokrotnie robiły furorę. Jednak nie mogli się tam przyzwyczaić do jego zaskakujących sformułowań i niesamowitych teorii. On wszystko traktował żartobliwie, kpil i bawił się — a oni rozpaczliwie serio. Ponieważ zaś, jak zaznaczyłem, był bardzo biegły w dyalektyce, wściekali się, gdy nie mogli zwalczyć w polemice jego przeróżnych absurdalno-fantazyjnych herezji. Raz na przykład udowadniał tym endeckom, że Żydzi spełniają najbardziej twórczą i pożyteczną rolę w naszym społeczeństwie, i gdyby ich nie było, to należałoby ich wymyślić i stworzyć, a warstwa gnuśna, egoistyczna i bezpłodna — są chlopi. Udało mu się w okresie Bożego Narodzenia skłonić kolegium redakcyjne do umieszczenia w numerze świątecznym

# DIABEŁ - INTELEKTUALISTA

KONRAD BIELSKI

szkowało. Lecz Stanisław natychmiast przeciął wszelkie rozmyślenia: „Z powodu świąt niewątpliwie jesteśmy wszyscy przejeżdżeni, a wódkę przecież można pić zawsze”.

Zapewne pisał wiersze od dawna, bo te pierwsze, które nam pokazał, były już dojrzałe i świadczyły, że wszelkie próby młodzieńcze ma już za sobą. Wolno mi sądzić, że wszystko, co napisał w swym życiu z poezji — napisał w Lublinie, bo po wyjeździe z naszego miasta zamilkł całkowicie. Wiodocześnie przynależność do naszej grupy i atmosfera, która u nas panowała, działały na niego zapładniająco. Mogę również powiedzieć, że tu u nas znalazł własny ton. Jego pierwsze poezje lubelskie a ostatnie — to olbrzymi krok naprzód. Wydał te wiersze w zbiorku pt. „Parabole”.

Zamierzał również wydać zbiór erotyków. Kilka z nich napisał. Jeden pt. „Schadzka” — był nawet drukowany w parę lat po jego wyjeździe w „Dzwigarach”. Odczytywał nam każdy z tych utworów w miarę pisania. Były oryginalne, niepokojące i perwersyjne, o dużych walorach formalnych. Taki zbiorek miałby na pewno duże powodzenie i u znawców, i w szerokiej kołach czytelników. Ale nie dokończył i nie wydał. Co gorsza, przestał w ogóle pisać.

Specjalną cechą talentu Gredzińskiego była obfitość pomysłów. Gdyby chociaż część z nich zrealizował, starczyłoby na kilka książek i utworów scenicznych. A tak to się tylko wszystko rozpięło w słowach. Przedstawiał, rozwijał, zapalał się. Były to projekty sztuk teatralnych, ciekawe i niesamowite, coś w stylu Witkacego; pomysły opowiadań, a nawet całych powieści. Wszystko to obfitowało w różnorakie problemy, bogate w treść ideologiczną i nasycone niesamowitą fantastyką. A niektóre z nich zabawne i pełne humoru.

Pamiętam, jak przez kilka wieczorów szkicował nam projekt większego opowiadania. Rzecz się dzieje w wielkim starym domu w niezamieszanej dzielnicy. Mnóstwo małych lokali, zamieszkałych przez wielu ludzi. Na każdym piętrze jest tylko jedna ubikacja ogólna na korytarzu. Spotykają się tu z konieczności wszyscy. Z fragmentów rozmów tu prowadzonych można sobie odtworzyć życie mieszkańców domu. Codzienne kłopoty — szare życie biednych ludzi. Spotyka się tu również młody człowiek z przystojną dziewczyną. W tych oryginalnych warunkach nawiązuje się znajomość, która się stopniowo przetwarza w miłość itd. Tytuł całości: „Romans ubogich”.

Pomysły miał nie tylko literackie. Sam sobie stwarzał skomplikowane sytuacje życiowe, z których niejedno-

jego wiersza pt. „Choinka”. Co potem było! Kler się zgorszył, matadorzy partyjni protestowali, redaktor namiętnie o mało nie wyleciał. Ale za to trzeba przyznać, że za całe dwudziestolecie międzywojenne drugiego takiego wiersza w „Głosie Lubelskim” nie było. Na tle produkowanej tam grafomanii był to wytwór orzeźwiający. No i oczywiście dla niektórych szokujący.

Długo w tym dzienniku nie zabawił. Po przewrocie majowym odezwał się w nim dawny legionista. W każdym razie skorzystał z okazji i wygłosiłszy krótką, ale soczystą mowę do swych ogłupiałych jeszcze i wystraszonych byłych kolegów — tanecznym krokiem opuścił lokal redakcyjny „Głosu” na zawsze.

Potem miał trudne chwile. Biedował bardzo, tym bardziej, że i jego ojciec stracił koncesję na trafikę. Zawsze jednak zachowywał piękne pozory. Nie dyskutował swego stażu legionowego. Chodził naprawdę tylko własnymi drogami.

Spotykaliśmy się często, był okres, że nawet codziennie. Oblegaliśmy stół z licznym gronem kolegów w kawiarniach i knajpach i bez końca toczyły się biesiady i zażarte spory. Gredziński był niezawodny, potrafił zawsze wprowadzić temat ożywczy i podsekcytować najbardziej opornych. Dowcipny, inteligentny, cyniczny, zawsze atakujący uświęcone prawdy, zmieniający przekonania na oczekaniu — dziś z całą mocą bronił tej tezy, którą dnia następnego z niebywałą energią zwalczał. Miał w sobie coś z diabła.

Oczywiście tego współczesnego diabła — intelektualisty.

Dużo wtedy pisał. Między innymi on pierwszy w Polsce przełożył „Pluskwę” Majakowskiego i nadaremnie szukał teatru, który by ją wystawił. Ostatecznie złożył u Jaracza w Ateum egzemplarz, który czekał tam aż do wojny. Dopiero w Polsce Ludowej, po wielu latach sztuka ta znalazła się na deskach scenicznych, ale już w innym przekładzie. Z literatury klasycznej uwielbiał Don Kichot'a, znał tę książkę wybornie; mnóstwo ustępów umiał na pamięć. Planował na tej kanwie wielkie widowisko sceniczne, pod gołym niebem z udziałem mnóstwa ludzi. Potem wszystko przerwał, wszystko rzucił i wyjechał na stałe do Warszawy.

Czego on tam nie robił. Był redaktorem „Mocarstwowca” — sama nazwa wskazuje, co to był za periodyk, a potem na zupełnie innym krańcu redagował „Głos fabryczny”. Prowadził z bratem kursy maturalne. I pewnie wiele innych rzeczy, o których nie wiem. Tylko że już nie pisał. Zerwał z poezją na zawsze. Nie poruszał tego

# SALWA BEZ PROCHU

(Dokończenie ze str. 5)

zamiast wyświetlać filmy Munka w najlepszym kinie, po zadbanu o zainteresowanie imprezą miejscowej inteligencji, młodzieży akademickiej i licealnej, członków Dyskusyjnych Klubów Filmowych itp. — wygnano je na ekran kina peryferyjnego, prawie że już — wiejskiego. Rezultat do przewidzenia, jak wyżej. I jeszcze jeden niewypał...

## PRZEGLĄD BATERII

Wracamy jednak do ciężkiej baterii filmów premierowych.

Pierwsze dzieło — „Dom bez okien”. Wysunięto go wszędzie na czoło festiwalu. Dlaczego? Aby dać jakąś satysfakcję jego realizatorom za bezprzykładną klępkę filmu w Cannes? Im nie pomogło, festiwalowi mocno zaszkodziło. Powiedzmy od razu: w zestawie filmów DFP nie znalazła się ani jedna pozycja wybitna. Każdy z nich pokazany oddzielnie, w natioku normalnych filmów repertuarowych, nie raziłby, jak w sąsiedztwie filmów równie mało ciekawych. Przedfestiwalowy hałas w prasie uczulił uwagę i wrażliwość widzów, rzucił na tych kilka filmów ostre światło opinii publicznej.

Zdarza się i w życiu, że mniej urodziwa twarzyczka kobieca zatracą się, ginie w bukiecie gładziej od niej buziaków. I — przeciwnie — rewia samych brzydliwych pogarsza sprawę. Dobrze być niekiedy psychologiem, zwłaszcza gdy się jest propagandzistą w jakiejkolwiek dziedzinie...

Wracamy do tego „Domu”. O co w nim właściwie chodzi? Autor scenariusza na konferencji prasowej powiedział, że chodziło tu o pokazanie szkodliwości ingerencji z zewnątrz w życie jakiejś grupy społecznej. Ingerencja taka za wsze kończy się źle. Jakże niebezpieczna teza! Na szczęście — praktyka codzienna i przekazy historyczne mówią o czymś zupełnie innym.

Działo drugie — „I ty zostaniesz Indianinem”. Młodzi widzowie trochę się śmieli, starsi byli raczej poważni. Myśleli może o tym, czemu więcej sympatii budzi u młodocianej widowni wyrostek pociągający wódkę lub bandziora stałe „na bańce”, niż bohaterowie pozytywni?

Trzecie dzieło — „Mój stary”. Magnes był: Dymyza! I to w dramatycznej roli. Nie zadziałał, nie przyciągnął uwagi publiczności. Znowu powiało nudą.

tematu w rozmowach, nawet po większej ilości alkoholu. Wiem o tym, bowiem w Warszawie spotykałem się z nim dość często.

Później go straciłem z oczu. Po wybuchu wojny ktoś mówił, że spotkał się z jego nazwiskiem na lamach polskiej gazety, wychodzącej w Białymostku już po wkroczeniu wojsk radzieckich. Potem wszelki słuch o nim zaginął.

Na zakończenie tego długiego o nim pisanie\* chciałbym przytoczyć jeden niedługi wiersz, który zdaje się niezbędny dla uzupełnienia jego charakterystyki. Wiersz ze zbioru „Parabole”. Nosi tytuł „Życie”.

*W dusznym kinie tańczy  
Lili leje do kieliszków likwor.*

*Mały kotek wśliznął się do wnętrza,  
A za oknem noc się czarna piętrzy*

*Kręcę pilnie na warsztacie kółko.  
I zagryzam skromnie suchą bułką.*

*Wymyślił mi znajomi ludzie,  
Ileż codzień mają ze mnie uciech.*

*Gdy przestanę wierzyć im, że jestem,  
Zaraz urwę się i runę w bezden.*

*Każą kółki mi przy lampce strugać.  
Kotek z kąta poufale mruga.*

*Ale kiedy słuką nam latarnie,  
Noc ogromna wszystkich nas ogarnie.*

Znajomi ludzie, którzy wymyślił Gredzińskiego, byli obdarzeni nie tylko jaką dozą fantazji

## NIEZAUWAŻENI WROGOWIE

„Spóźnieni przechodnie” — to dzieło czwarte. Rewia gwiazd polskiej sceny. W każdej z tych nowel ktoś długo i tęsknie wyglądał przez okno, wypatrując — czego? A więc — dramat straconych złudzeń czy dramat nie wykorzystanych okazji? Co to jednak wszystko znaczy? Co chcieli powiedzieć widzom realizatorzy tych filmików? Beznamiętna relacja nie mogła zastąpić oceny. Przez ekran przesuwały się kolejne, jak w anie somnambulicznym, liczne postacie, budząc wiele pytań i na żadne nie udzielając odpowiedzi.

I wreszcie — dzieło piąte: „Jada goście, jada”. Ono jedno, chociaż strzał był bliski, dało jednak ognia. Mały przegląd gatunków filmu „wesołego” — od tragicomedii charakterów poprzez komedię sytuacyjną do zgola już farsowych epizodów w noweli końcowej. Całość wcale zabawna. Śmieszny, zjednywa sobie widza — bezpretensjonalnością.

Pretensjonalność bowiem jest tak samo groźnym wrogiem dzieła sztuki, jak nuda.

Jerzy Kuryluk

# O KULTURĘ ŻYWEGO SŁOWA

Jakiś czas temu ukazał się trzeci numer „Logopedii” — pisma poświęconego „zagadnieniom kultury żywego słowa”. Zeszyt objętościowo dość skomny, podobnie jak dwa poprzednie prezentuje w obu działach — rozpraw i sprawozdań — różnorodny zestaw zagadnień i sposobów ich ujmowania.

Obok autorów polskich zabierają w nim głos także uczeni zagranicą, co powoli zaczyna się stawać dobrą tradycją pisma. Po artykule czołowego logopedy czeskiego Miłoslawa Seemana, który w numerze poprzednim pisał o przywracaniu mowy w wypadku wycięcia krtani, obecnie dwaj jego współpracownicy, Jiri Nemeš i Karel Vrticka, dzielą się swymi uwagami na temat wpływu czynników psychologicznych na rehabilitację głosu i mowy u bezkrtaniowca, podkreślając, w oparciu o doświadczenia pracowni praktycznej, znaczenie „włączenia się pacjenta do życia społecznego, zarówno w rodzinie jak i szczególnie w pracy”.

Praktyczne przykłady naprawienia wadliwej wymowy zgłosił r w języku polskim (przykłady mają wartość pewnych propozycji praktycznych) podaje w przystępnym artykule Kazimierz Głogowski z Katowickiej Poradni Zaburzeń Mowy. Tytuł trochę odstraszający: „Terapia rotacyzmu”. Przykłady uleceńca dotyczą tylko dzieci, końcowe zdanie autora: „W niektórych wypadkach zastarzała wymowa nie udaje się nam wywołać poprawnego r” — brzmi więc jak ostrzeżenie, kierowane chyba głównie do rodziców i nauczycieli.

Z autorów lubelskich wypowiada się w tym dziale Stanisław K. Papierkowski. Jego „artykuł dyskusyjny” — jak go określił sam autor — pt. „Prawidłowa wymowa to rzecz ważna” (sformułowanie może nazbyt polemiczne jak na dzisiejszą świadomość tych spraw) podnosi szczegółowe wypadki błędnej wymowy, żądając jednocześnie rewizji niektórych norm ortofonicznych narzuconych wbrew zywemu językowi, m. in. normy nakazującej wymowę zębowa zgłoski i na scenie. Bardzo słusznie! Cenna też przestroga przed przesadą i pedanterią na polu językowym.

Dział sprawozdawczy, zajmujący dokładnie połowę zeszytu, korzystnie świadczy o szerokości kontaktów z obcą myślą naukową, zwłaszcza czeską, radziecką i niemiecką, orientuje też w źródłach inspiracji i głównych kierunkach nawiązań logopedii polskiej. Nauczyciela i recytatora, zainteresujące zapewne ocena Płytoteki Języka Polskiego, omówienie fundamentalnej książki Chwatewa „Logopedija”, zresztą chyba większość pozeji tego działu. Niestety, język niektórych sprawozdań, miejscami nie tylko mało potoczny, chropawy, ale wręcz ciemny, przeżarty żargonem naukowym, tak jakby walka o piękne i żywe słowo nie obowiązywała i autorów sprawozdań. Jeden, przykład ze strony 35: „Według cech klinicznych autor dzieli oligofreników na kretynów i hydrocefalów, którzy są zazwyczaj bierni, apatyczni, oraz mikrocefalów i mongoloidów i rzadko spotykanych lipodystrofików, którzy należą do typu eretycznego”.

Wyraźne dążenie Redakcji do otwarcia pisma jak najszerzej, „europejskich” horyzontów naukowych, widoczne w pozyskiwaniu zagranicznych autorów, recenzjach obcojęzycznych książek, podawaniu streszczeń co ważniejszych artykułów po rosyjsku i angielsku — przy równoczesnych założeniach popularyzatorskich, przedziej się później postawi zespół redakcyjny przed koniecznością ponownego określenia charakteru pisma. Mimo rozszerzania się kręgu odbiorców głównym adresem pisma powinien chyba w dalszym ciągu pozostać nauczyciel. W walce o kulturę mowionego języka szkoła jeszcze długo będzie zajmować pozycję kluczową, co w naszym nieumniejsza roli zawodowego i amatorskiego ruchu aktorskiego, recytatorskiego itp. Nie jest to na pewno przeszkodą w podnoszeniu naukowego poziomu wydawnictwa, stawia tylko wymóg przystępności i aktualności problematyki.

Kolportaż prowadzony przez Dom Książki wciąż jeszcze za mało elastyczny. Numer trzeci można nabywać, w razie zaś braku zamawiać, we wszystkich księgarniach tej instytucji.

J. Bartmiński

Logopedia. Zagadnienia kultury żywego słowa. Nr 3. Wydawnictwo Lubelskie 1962.

\* V. początek w n-rze 17 „Kamień”.



**I**STNIEJĄ dwie grupy kierowców: kierowcy ciężarówek i samochodów osobowych.

Kierowcy ciężarówek np. „starzy transportowcy” jeżdżący na długich, kilkusetkilometrowych trasach, wojskowi kierowcy, z pegeerów, Straży Pożarnej, Milicji Obywatelskiej, prywatni badylarze, dowożący na targ warzywa i owoce własnymi środkami lokomocji, kierowcy firm budowlanych, spółdzielni mleczarskich itd.

Kierowcy samochodów osobowych to „służbiści”, prowadzący wozy „służbowe i „prywatne”. Prywaciarze, — znowu cały ogromny wachlarz rozpoznający się od „mankowiczów”, poprzez lekarzy, adwokatów i reżyserów filmowych aż do pracowników ambasad zagranicznych, do tych posiadaczy ultranowoczesnych wozów z tabliczką CD.

Tych wszystkich kierowców należy bawić. Jak, to już zależy od inwencji i pomysłowości autostopowicza. Począwszy od chwili podniesienia książeczki aż do zakończenia podróży.

Stary, doświadczony autostopowicz jest wnikliwym psychologiem. Potrafi błyskawicznie zorientować się, jaki jest poziom intelektualny, rodzaj humoru i zainteresowania dobroczyńcy, który uchyla właśnie drzwiczki pojazdu i pyta: „dokąd chcecie jechać?”

Najłatwiej z ciężarówkami, kiedy jeździ się na platformie transportowej czyli „pace”. Wtedy, na pytanie o kierunek jazdy należy wesóło odskrzyknąć: „Na...!” (tu podaje się najbliższe większe miasto np. „Na Warszawę”, „na Lublin”).

Można też buńczucznie, pełną młodzieńczą pierśią zawołać: „Aby dalej!” albo: „Jak najdalej” lub: „Jak Bozia da!”. W trakcie ładowania na pakę koców i plecaków, — żeby kierowca nie denerwował się zbyt długim postojem, niektórzy stosują dowcipne pokrzykiwania, np.: „Już, już, panie szefie, aby koleżankę załadujemy, bo jej trochę... cięży!”, „Wacek, szybciej, offermo, bo panu kierowcy się spieszy!” (to ostatnie zdanie — przypochlebie i bardzo głośno, żeby kierowca koniecznie słyszał. Poza tym, sam wyraz „oferma” jako rzadko przez dzisiejszą młodzież stosowany, może wzbudzić uśmiech). Dobrze jest także od czasu do czasu — szczególnie w stosunku do starszych wiekiem — użyć zwrotu: „panie mechaniku” (Broń Boże — „panie szofer” — wtedy klapa z jazdy!!!). W trakcie podróży powinno się kilka razy ryknąć chórem: „Ten kierowca fajny chłop, co popiera Autostop!”, albo, jeżeli kierowca życzy sobie tego, zaśpiewać piosenkę, dla starszego raczej coś z repertuaru turystyczno-harcerskiego, dla młodszego w miarę pieprzną, tylko na tyle, żeby i koleżanki z lekką zarumienioną się i kierowca-cwaniak się ubawił, ale nie pomyślał zgorzsony, jaką to zepsuta i amoralna młodzież wiezie. Piosenkę (szczególnie frywolną) należy śpiewać trzymając głowę blisko tylnego okienka szoferki, żeby kierowca zajęty prowadzeniem mógł bez trudu wyłapywać pomyły. Jeżeli kierowca i jego pomocnik są szczególnie rozmowni, można opowiadać krótkie, lekkie kawały. Znakomicie wpływa na samopoczucie osób znajdujących się w szoferce rzucone co pewien czas zdanie: „Dobrze pan ciągnie”, „choroba, osiemdziesiątka na liczniku!” itd. Przyjemny nastrój sprawa także opowiadanie krótkich, motorowo-seksualnych dykterek zaczynających się od słów: „Jeden mój znajomy miał taki cholerny karburator, w którym ciągle pływak nawał! No i raz poderwał fajną babkę i pojechali do lasu...” (nie orientujący się w tajnikach budowy karburatora nie potrzebują obawiać się wpadki. I tak połowa opowiadania ginie w warkocie silnika).

W wypadku zaproszenia do szoferki, należy postępować tak, jak w samochodzie osobowym.

Samochody osobowe i ich właściciele! Stare, rozklekotane „Ople”, „Austin”, „Wytworne”, „Mercedesy”, „długie, niskie „Cytryny”, tłum „Warszaw” i „Octavii”, na karoseriach: GB, USA, F, A, za kierownicą ludzie w burberry, w poplamionych starych marynarkach „do wozu”, czarnych dyplomatach i łososowych szalikach, filozofowie i kanciarze, lysi, ateści, ortodoksyjni katolicy, osobniki z fantazją i pozbawione jej, sangwinicy, pyknicy, ojcowie dzieciom... i jeszcze... i jeszcze... Nawet wytrawny tramp, szosowiec z kilkuletnim stażem ma często z nimi nie lada kłopot! Wywrzeć korzystne wrażenie, rozbawić, zainteresować Autostopem, wzniecić żarliwą dyskusję, w sporadycznych wypadkach nawet „ujelenić” faceta na kawę albo na obiad, w ogóle być interesującym, wdzięcznym towarzyszem podróży —

to zadanie niełatwe. Tutaj pierwszym warunkiem powodzenia jest przede wszystkim wygląd zewnętrzny. Czysty i schludny. Kierowcy samochodów osobowych, szczególnie tych nowych, niedawno kupionych, panicznie boją się zabrudzenia wnętrza wozu. Jeżeli nawet zdecydują się zabrać autostopowicza, który przedtem przeleżał bez troski kilka godzin w zakurzonej rowie przydrożnym, stają się rozdrażnieni, małomówni, wierzą się niespokojnie, mając przez cały okres podróży przed oczyma obraz poplamionej tylnej kanapy, zamiast obserwować szosę gapią się w lusterko badając stan czystości samochodu. Do celu przyjeżdżają z roztrzęsionymi nerwami i gorącym postanowieniem, że nigdy w życiu nie zabrają już żadnego autostopowicza.

Tramp, którzy wiedzą o tym i którym wydaje się, że są inteligentni, rozkładają na tylnym siedzeniu gazety, informując z miłym uśmiechem: „Mam co prawda czyste ubranie, ale na wszelki wypadek... Przez „Ekspresik” nic nie przejdzie...”. Nic bardziej błędnego! Dopiero teraz zaczyna pracować wyobraźnia kierowcy! „Ten dopiero musi być brudny, skoro aż gazetę sobie podkłada!”

Autostopowicz-psycholog postępuje zupełnie inaczej. Pozostaje w brudnym, nieoczyszczonym ubraniu, ale za to wkłada białą koszulę i zawija ją krawat. Brak prawdziwego krawata można zastąpić paskiem od przeciwdeszczowego płaszczu igelitowego. Ma on kolor stalowo-szary i bardzo dobrze wygląda na tle białego kołnierzyka. Ci, którzy czują wstręt do zabierania na włóczęgę białych koszul, mogą naśladować pewnego młodego plastyka, którego spotkałem na trasie z Gdańska do Warszawy. Fabrykował on dla siebie i dla swoich kolegów kołnierzyki i śnieżne gorsy z bristolu. Co za bogactwo fasonów!

Jeżeli już spełniliśmy pierwszy warunek, to znaczy nasz wygląd zewnętrzny sprawił wrażenie korzystne i zaproszono nas do zajęcia miejsc w samochodzie, nie rozwalamy się wygodnie, nie palimy papierosów, siedzimy cicho, z błogim wyrazem twarzy, w ogóle staramy się niemal nie istnieć, ale jednocześnie całą naszą postawą wyraża szczęście i wdzięczność dla właściciela wozu za to, że zrobił nam taką niespotykaną frajdę, że nas zabrał. Dobrze jest w tym pierwszym etapie podróży „upajać się pędem pojazdu” — choćby nawet włóki się czterdzieści na godzinę — co osiągamy odchylając głowę do tyłu, przymrużając oczy i lekko ale dobitnie posapując przy „brawurowo” branych zakrętach. Można też wpadać w całkowity błogostan oraz zadumę nad wielko-duszością kierowcy. W tym celu należy unieść w górę kąciki ust (półuśmiech!) i wpatrywać się uparcie w jakiś punkt na szosie, co nadaje oczom wyraz zamyślenia. Dobrze też od czasu do czasu westchnąć. (Ale radośnie!).

Oczywiście, przez cały czas dyskretnie obserwujemy kierowcę starając się ustalić, kim jest, co robi, co powinno go zainteresować, w jaki sposób rozzerwać go.

Mniej więcej po pięciu minutach milczenia, kierowca nie wytrzyma i zadaje pierwsze pytanie. Przeważnie: „Jak się podróżuje?” albo: „Z daleka panowie jedziecie?” Jest to pytanie stereotypowe i nic nam jeszcze o zadającym je nie mówi. Dlatego tylko z lekką ożywianiem się i spokojnie, z szacunkiem odpowiadamy co i jak, po czym znowu następuje zwykle krótka chwila milczenia i wreszcie pada następne zdanie, po którym powinniśmy już zorientować się, jaki schemat rozmowy należy zastosować. Uniwersalny schemat przedstawiony w punktach wygląda następująco:

1. Autostop w ogóle.
2. Mój udział w nim.
3. Pochwały (z mojej strony) wozu, którym jedziemy.
4. Dyskusja: ZIS-y a trzyosiowe

\* Fragment jednego z rozdziałów książki, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

„Stary” i w ogóle tematy samocho-

5. Dziewczynki.
6. Rybołówstwo.
7. Szlaki piękne ewentualnie cybernetyka.
8. Inne tematy.

Jeżeli zdarzy się, że kierowca sam, bez naszej pomocy zahaczy o punkt pierwszy, to wszystko w porządku. Postępujemy według ustalonej kolejności. Jeżeli jednak rozpocznie np. od punktu drugiego, to rezygnując z punktu pierwszego staramy się, po wyczerpaniu tematu: „mój udział w Autostopie”, sprowadzić rozmowę na punkt trzeci. Najwygodniejsze przejście: „przejechałem już w tym roku pięć tysięcy (kilometrów), ale dopiero pierwszy raz jadę takim wozem jak pański” (i znowu bez większego wysiłku kolejność jest zachowana). Oczywiście zdanie powyższe wypowiedziane w wypadku kiedy samochód jest starym gruchotem może wypaść niezręcznie i zwarzyć rodzącą się już miłą atmosferę. Korzystniej więc powrócić do punktu pierwszego albo omijać trzeci przerzucając się rozmową na czwarty i po krótkiej dyskusji zacząć wychwalać precyzyjnie wykonania i żywotność starych samochodów i ich części (których nawet najlepsza szlifierka nie chce „brać”), oraz wyższość nad obecnym, seryjnym barachlem rozsypującym się po pierwszych stu tysiącach. Punkt piąty pozostawiamy całkowicie do dyspozycji naszego rozmówcy pozwalając mu prowadzić długi monolog, podczas którego wyciszamy, potakując od czasu do czasu,

## Z PORADNIKA dla początkujących autostopowiczów\*

MIROSLAW DERECKI

jeżeli monolog prowadzi człowiek młody, — spoglądając z podziwem i wdzięcznością za to, że dopuszczono nas aż do takiej konfidencji, jeżeli jest w podeszłym wieku. Punkty szósty i siódmy to tematy przy których należy mieć się szczególnie na baczności. Rybołówstwo można zresztą od biedy jakoś ominąć. Gorzej ze sztukami pięknymi. Jeżeli jednak sytuacja wymaga podjęcia tego tematu... W każdym razie przy końcu dyskusji winniśmy zgodzić się ze zdaniem osoby siedzącej za kierownicą. Uwaga! W wypadku spotkania kierowców reżyserów, kierowców aktorów, literatów i innych znawców sztuki z prawdziwego zdarzenia, zachowujemy się tak, jak w stosunku do ludzi w podeszłym wieku z punktu piątego.

Autostopowicz nurkujący w tłumie prywaciarzy, stykający się bez przerwy z ciągle innymi, nowymi ludźmi, powinien szczególną uwagę zwrócić na cztery najbardziej charakterystyczne dla prywaciarzy grupy kierowców. Są to: „mankowicze”, „ojcowie dzieciom”, „korpuz dyplomatyczny” oraz „turyści zagraniczni” i „osoby na odpowiedzialnych stanowiskach”.

„Mankowicze” — to pogardliwe określenie właścicieli eleganckich samochodów, którzy mijają nas z kamienną twarzą i zadartym nosem, udając, że nie dostrzegają podniesionej książeczki autostopowej i grupy „prozniaków i obdatusów” stojących na szosie.

Nic bardziej nie może dotknąć autostopowicza jak właśnie takie zachowanie wobec jego przyjaznego, pełnego nadziei uśmiechu. „Niechby chociaż splunął z obrzydzeniem, przemaszerował palcami po szybie (co oznacza: „smaruj na piechotę draniu!”), ale nie, on ciebie traktuje jak powietrze! „Mankowicz” w języku autostopowym znaczy tyle, co sobek, dorobkiewicz i złodziej.

Przeleż często jeden ruch ręki może osłodzić długie, bezowocne godziny oczekiwania na jakąś „okazję” i zapobiec pobożnym życzeniom pod adresem przejeżdżającego: „A żeby ci się koło uwarło!” Na przykład, nadjeżdża wspaniała limuzyna z dwoma wolnymi miejscami, za kierownicą zadbany gość w „nonajronie” i eleganckich rękawiczkach... Mankowicz? Nie, mijając nas uśmiecha się porozumiewawczo i „bezdalnie” rozkłada ręce. „Jasne, że nie mógł stanąć” — tłumaczy go autostopowicze między sobą — „babkę wiezie, co mu mamy przeszkadzać...” I chociaż mokną na deszczu i wiedzą, że będą tak mokli beznadziej-

nie przez następną połowę dnia,

wszystko jest okey. Jeszcze gorzej, kiedy taki mankowicz wpuszcza „chłopca z szosy” do samochodu. Jeszcze gorzej, bo już z chwilą zatrzaśnięcia drzwiczek zaczyna żalować swojego postępcę. Nastawia wtedy radio na pełny regulator, żeby przynajmniej wyeliminować wszelkie próby nawiązania rozmowy, żeby całkowicie odgrodzić się od intruza. Jednocześnie przyjmuje niewygodną, nieefektywną pozycję, prowadzi wózek szybko i nieostrożnie, chcąc pochwalić się jego sprawnością i własną brawurą. Upaja się swymi nieskazitelnymi mankietami koszuli i zeżuje wymownie w kierunku obszarpanego swetra pasażera.

Jeżeli mankowicz jest z gatunku rozmownych, robi mankietem dwugodzinny wykład na temat włóczęgostwa i bezwzględnej żebrani na szosach. Przy końcu podróży albo skrzętnie, co do kilometra przelicza kupony, albo w ogóle ich nie przyjmuje oświadczając, że ON z zasady autostopowiczów nie wozu, tylko w tym konkretnym przypadku, ponieważ „zdjęła go litofa”. Po rozstaniu się z takim kierowcą, autostopowicz robi głęboki wydech.

Zupełnie co innego — „ojcowie dzieciom”. Kiedy na szosie pojawi się sąnające wolno w waszym kierunku, brzęczące wszystkimi blachami, kanciarze monstrum, możecie być pewni, że jeżeli nie jest ono zapakowane pod dachem, tobołami i synowymi z kupa smarkaczy na kolanach, na wasz widok zatrzyma się, a właściciel wychyli głowę przez otwór po istniejącej kiedyś szybie i krótko, rzeczowo, pozornie nieprzyjemnym głosem zapyta: „Dokąd?”

Tutaj nie obowiązują nawet gazety i białe kołnierzyki. Wpada się głęboko między sprężyny porwanego siedzenia, nogi opiera na karnistrach z benzyna, a łokciem przytrzymuje bankę kupioną „na lewo” oliwy. Kierowca kłnie pod nosem na powiązany sznurkami silnik i że mu tryby nie zaskakują, a w przerwach informuje, że z tyłu leżą jabłka, to można się poczęstować.

Kim jest ojciec dzieciom, jaki jest jego zawód — tajemnica. Może być tak samo dobrze chirurgiem, jak i mechanikiem samochodowym czy maloniasteczkowym sklepikarzem. Zawód ojca-dzieciom jest może ważny dla jego rodziny, dla niego samego ważny jest tylko samochód, pod którym upada połowa życia.

Poza samochodem, posiada około pięćdziesięciu lat, żonę dzielną-kobietę, lysinę i reumatyzm, o którym lubi rozmawiać (patrz: punkt ósmy Uniwersalnego Schematu: Inne tematy). W młodości był dobrze zapowiadającym się utracjuszem, lubił popić i w ogóle był z niego chłopak z fantazją, — ot, taki właśnie jak wy. Na pewno zmarowałaby życie, ale trafił na żonę dzielną-kobietę, która wzięła go do galopu. Początkowo żalował, że się ożenił, później nie żalował, a teraz znowu żaluje, bo niby życia nie zmarował, ale dorobił się tylko pięciorga dzieci i tego nędznego grata-wozu, a tak to by miał sobie teraz z dziewczynkami. Ale ostatecznie z żoną też nie jest tak źle, bo to dzielny człowiek. „Nie żęńcie się w młodym wieku, nie warto, albo zresztą żęńcie się, to i tak nikogo nie ominie, małżeństwo pomoć nie pomoże, ale i zaszkoćdzić nie zaszkoćdzi. A w ogóle Autostop to dobra impreza!”

Zachwył Autostopem zwiększa się, jeżeli wasz ojciec albo kuzyn jest mechanikiem samochodowym, a i wy sami znacie się cokolwiek na motorach. I tak ojciec dzieciom, kierowca-pocciwiec, nafaszerowany wiadomościami o defektach starych silników spalinywych i przyprawiony lekko reumatyzmem, gotów zawieźć was na koniec świata.

Nie spotkałem jeszcze autostopowicza, który nie jechałby wozem ambasadora USA albo w ostateczności Peugeotem „jednego takiego zagranicznego turysty z Zurychu”.

Nic dziwnego. Mieć na swoim koncie „ce de”, to mandat na dostanie się w krąg lepszego towarzystwa, jeden z warunków do zyskania miana wyjadacza tras i w ogóle człowieka bywalca w świecie. Opowiadanie o przygodach, jakie zdarzyły się w czasie wspólnej podróży z ambasadorem, znakomicie pomaga między innymi przy „gaidle”.

Oto kilka rad dla początkujących, którzy chcieliby zabłysnąć, a ponieważ wyruszają po raz pierwszy na Trasę, nie mogli siłą rzeczy skorzystać z uprzejmości ambasadora:

1. Ambasador jeździ przeważnie czarnym, krytym Cadillacem.
2. Jest to starszy wytworny pan w

(Dokończenie na str. 14)



# CZY JEZYK NASZ SZTYWNIJE?

Zadawałoby się, że im dany język jest zasobniejszy w słownictwo i jego formy, tym jest bogatszy, tym większą ma rozmaitość, barwność, tym jest żywszy i bardziej dokładny w swych określeniach, zwrotach, obrazach czy nawet definicjach. I że wobec tego ci, co mają szczególny wpływ na rozwój i kształtowanie się mowy naszej, jak np. nauczyciele, pisarze, redaktorzy wydawnictw, dziennikarze, pracownicy radia, powinni szczególnie dbać, aby nie tylko nie ubożyć języka, nie usztywniać jego form, ale raczej je w miarę możliwości wzbogacać.

Tymczasem kto dłużej pracuje przy biurku redakcyjnym, może stwierdzić, że nawet zawodowi literaci nie przejawiają nieraz dostatecznej wrażliwości, gdy chodzi o kwestie językowe, stylistyczne itp. A przecież rzeczy te, jako tworzywo pisarza, powinny być przez niego szczególnie pieczołowicie traktowane.

Żal mi np. żeńskich form nazwiskowych na *owa, ina, ówna, anka*, których całkowite niemal dziś zanikanie przyjmujemy do zatwierdzającej wiadomości. Nie uznaje ich przede wszystkim szkoła, posługując się w odniesieniu do dziewcząt formami: Marysia Kopacz, Alinka Kaluża. I oto w uszach uczennicy jedenastej klasy liceum ogólnokształcącego zupełnie już obco brzmią nazwiska: Kopaczówna, Kalużanka, choć-em niedawno usiłował przekonać ją, że są to formy jak najbardziej swojskie, językowi polskiemu właściwe, wygodne w użyciu. Tak samo nazwiska kobiet, kończące się na *owa, ina*. Istnieje obecnie ogólne niemal przekonanie, że „pani Koziele” poprawniej brzmi niż „pani Kozłowa”; albo „pani Rokita” lepiej niż „pani Rokicina”. Nie uwzględniają oczywiście tych swojskich form urzędy, a za nimi miasto i tzw. inteligencja. Bo na wsi jeszcze się ludzie rozmaitości form nazwiskowych nie wyżyli, choć i tutaj już zaczyna się odczuwać coraz mocniej wpływ szkoły i urzędów.

A więc usztywnia się język w tym zakresie już prawie całkiem.

Gdy o nazwiskach mowa, obserwuje się inną jeszcze skłonność do kostnienia. (Cóż za częste się na przykład zdarza (w prasie, przez radio, w książkach i w mowie potocznej), że ludzie nie odmieniają nazwisk zakończonych na *o*, jak Wypchło, Szado, Kocęńko. W numerze 25 (211) „Tygodnika Kulturalnego” z 12 czerwca 1961 r. czytamy: „Znany adwokat stawiał się punktualnie, pana Suszko jednak nie było”; „Jestem żoną pana Suszko”. W tym samym piśmie, w nr-ze 31 (217) z 30 lipca tego roku, jest podpis pod fotografią zespołu amatorskiego z podaniem nazwisk, a na końcu: „zabrakło tylko Wawrzyńca Panońko”. Pewien znany literat, piszący także dla radia, mówi w jednej ze swych

książek: „Za panem Pocięszko zamknęły się drzwi”; „Ekwipaż państwa Pocięszko”; „Gdy państwo Pocięszko okrędną drogą wracali”. I tak na 288 stronkach. W radiowej zaś skrzynce poszukiwania rodzin słyszy się prawie za każdym razem wezwania typu: „Stefania Kraśko poszukuje syna Antoniego Kraśko i jego córki Helenki Kraśko”. Niedawno w niedużym gronie młodych ludzi z wykształceniem w zakresie polonistyki spieraliśmy się w podobnej kwestii; ja utrzymywałem, że takie nazwiska, jak Lato, Suszko, Pocięszko, Panońko, powinno się odmieniać normalnie, a więc — Laty, Suszki, Pocięszki, Panońki, Lacie, Suszce, Pocięszce, Panońce itd.; młodym natomiast wydawało się to dziwne i jak gdyby niepoprawne; woleliby mówić i pisać „idę do pana Lato”, „rozmawiałem z kolegą Suszko”, „piszę do obywatela Panońko”.

A więc znowu skłonność do usztywnienia.

Zastygają powoli także formy czasowników z *się*. Wielu spośród poważnych nawet autorów chce stawiać to *się* zawsze po czasowniku. Czytałem niedawno maszynopis sporej książki znanego literata-podróżnika, który wydał pono dotąd około trzydziestu opowieści i który prawie stale pisze, jak w tych oto zdaniach: „Nagle zaczęła rozchodzić się wiadomość”; „Przybyszy, zaczęłam rozglądać się za jakimś kawałkiem gruntu”; „Z realizacją moich projektów musiałem śpieszyć się”; „Gdy obudziłem się ponownie, słońce już wstało”; „Znowu zaczęły zbierać się tłumy”; „Po chwili sam zacząłem śmiać się z siebie”; „Wszystkie zwierzęta pływające w ciemnościach nie mogły powstrzymać się, aby nie podglądać obozowiska człowieka. Gdy przekonają się, że w pobliżu ognia nie ma żadnego ruchu, podchodzą nawet bardzo blisko i patrzą oczarowane blaskiem. Nam, ludziom, nie wypadła dziwić się ciekawości zwierząt”. Itd. W maszynopisie innego literata czytałem kiedyś zdania typu: „Tak też stało się” zamiast „Tak się też stało”. Gdzie indziej zaś wydrukowano: „Manewr nie powiódł się” zamiast „Manewr się nie powiódł”. Podobnych przykładów można by podać wiele.

Albo zjawisko unieruchamiania końcówek —(e)m, —(e)s, —(e)smy, —(e)ście oraz cząstek *bym, byś, by, byśmy, byście* spotyka się dziś bardzo często. Wspomniany pisarz-podróżnik pisze z reguły, jak w zdaniach: „Również nie napotkaliśmy”; „Wprawdzie znaleźliśmy się w pobliżu”; „Gdy dojechaliśmy do wysp”; „Ale my zrobiliśmy to i już następnego dnia (...) wjechaliśmy do stolicy kraju”. Itd. A przez radio słyszy się co dzień: „Jak już informowaliśmy”; „Jak już mówiliśmy”. Tak samo piszą wszyscy chyba dziennikarze. Gdyż zaś razu

da Iksówna?” „Nie, mówi Wanda Iks” — usłyszałem ostrą i dobitną odpowiedź. A w szkole trudno posługując się formami Kopaczówna czy Kalużanka, gdyż nie wiedzielibyśmy, jak napisać nazwisko na świadectwie: Kpaczo, Kpacza czy Kpacz, Koługa, Kalug czy Kalug. Nazwiskiem Kramkówny może być zarówno Kramek, jak i Kramko czy Kramka. Sądzę więc, że i względy praktyczne wymagają tego rodzaju „usztywnień”. Ma p. P. B. całkowitą słusność wzdrażając się od rozpowszechnionej umieszczania nazwiska przed imieniem (jak w skorowidzach, katalogach czy książkach telefonicznych). Listy powinno się adresować: Jan Kowalski, a nie Kowalski Jan. Tylko w języku węgierskim jest odwrotnie: poeta Ady Endre (Ady Andrzej).

Jak i p. P. B., zauważyłem również tendencję do nieodmieniań nazwisk zakończonych na *o*. Ciekawe, że ta skłonność nie dotyczy jednak nazwisk historycznych: nikt nie powie szabla Kościuszko ani opera Moniuszko.

Artykuł o ruchomości w obrębie zdania — przyczasownikowego zaimka *się* i końcówek (e)m, (e)s, (e)smy, (e)ście oraz enklitycznych cząstek: *bym, byś, by, byśmy, byście*, które można rozmieszczać swobodnie, zamieścił jeszcze przed wojną w „Wiadomościach Literackich” Paweł Hulka Laskowski, przytaczając liczne przykłady zaczerpnięte z literatury staropolskiej. Jaka potoczna dzięki tej swobodzie była proza Orzechowskiego, Górnickiego czy Skargi! Dziś

pewnego poprawił jednemu z autorów, humaniście z wykształcenia, w paru miejscach zwroty (po prostu dla urozmaicenia melodii języka): „Jak już pisałem”, „Jak już wspomniałem wyżej” na „Jakem już pisał”, „Jakem wspomniał wyżej”, był tym zaskoczony i obawiał się, czy w druku można się tak wyrażać.

Ktoś inny napisał najpierw w złożonej do wydania powieści dla młodzieży: „Jeleń, który początkowo szedł tak prosto, że mijając króla, chyba by go przeskoczył”. Po namyśle jednak doszedł widocznie do wniosku, że owo by jest nie na właściwym miejscu, i poprawił: „mijając króla, chyba przeskoczyłby go”. Inny zaś autor napisał całkiem dobrze i poprawnie: „Zaproponowałem mu założenie szlifierni, na którą ja bym dał pieniądze, a on by ją prowadził”. Redaktor książki poprawił: „na którą ja dałbym pieniądze”.

Czyli znowu tendencja do sztywności.

Obserwuje się także zanikanie form *mię, cię, a* niekiedy *mi, tak* jeszcze żywych w utworach np. Stefana Żeromskiego. We wszystkich maszynopisach młodszych pisarzy, a także u dziennikarzy, gdzie by można powiedzieć *mię lub cię, jest mnie lub ciebie*. „Gospodarz oprowadzał mnie po swojej farmie”; „Leczyłem na szczęśliwy przypadek, który już nieraz wyratował mnie z przykrych sytuacji”; „Przez chwilę ogarnął mnie lęk”; „Osmielona prezentem, oparłam się o kolana starszki, a ona przygarnęła mnie ku sobie”; „Kopę lat ciebie nie widziałem”. Itp.

Chyba to także brak urozmaicenia i kostnienie form.

I wreszcie jedno jeszcze: imię i nazwisko. Szkoła, wojsko, urzędy w wykazach alfabetycznych, a stąd i w adresach czy zwrotach do poszczególnych osób przyzwyczajają uporczywie do stawiania na pierwszym miejscu nazwiska, a na drugim imienia. Przenika to do prasy i nawet do utworów literackich. Dyskusja zaś z autorem, że to nie jest poprawne, bywa czasem trudna. Tak go przecie uczono od dzieciństwa, a przy tym nazwisko — powiada — jest ważniejsze od imienia.

Oto kilka przykładów sztywnienia czy „urzędowania” języka. Można by ich przytoczyć o wiele więcej. Jest to chyba wynikiem zbyt powierzchownego traktowania języka polskiego na wszystkich stopniach naszych szkół oraz niedostatecznego doteniania w uczelniach znajomości żywej mowy ludu. Mówi mi na przykład jedna z redaktorek wydawnictwa: „Gdy przed wojną była uczennicą w jednym z gimnazjów warszawskich, koleżanki moje nie wiedziały, co oznacza wyraz *onegda*. I dziwiły się, że jeszcze się ktoś nim posługuje”. Wiadać i z tego, że język miejski, „inteligentni”, który dzisiaj przez szkołę, gazetę, radio, urzędy przenika wszędzie, wpływa bardzo na usztywnianie naszej mowy.

Caveant scriptores!

P. B.

# „FARAON” W ŚWIETLE JUPITERÓW

(Dokończenie ze str. 3)

kajką z widzenia niewidzialności. Obrazy chłopca pracującego na roli czy czerpiącego wodę z niższego kanału do położonego wyżej — są rysunkowo wyraziste. Krajobrazy Faraona odpowiadają wymaganiom stawianemu przez Irzykowskiego, są filmowe, ponieważ sceny krajobrazowe szeregują się podług idei dramatycznej lub lirycznej, posiadającej swą treść ziszczenia lub rozczarowania. Krajobraz Egiptu widziany przez cudowną kulę Beressa, ziszcza sen o wieczności w umyśle i sercu starego faraona.

Ciekawe, iż sensację (tę typową filmową cechą) też nietrudno zauważyć w powieści Prusa. Sensacją jest (i to tragiczną) wyprawa Samentu do Labiryntu, sensacją zapierającą oddech — pogoń młodego faraona za wodzem libijskim, Tehenną. Zaznaczyć należy, że i te momenty sensacji są zróżnicowane z ideą filmową i literacką powieści.

Poszczególne epizody ruchowego tętna życia w Faraonie spotykamy niemal co krok: czy to tłumy szturmujące do bram świątyni, czy to bitwa nad Sodowymi Jeziorami, czy to podróż po Nilu, albo działanie Greka, Lykona, sobowótora Ramzesa, rola przypadku tak charakterystyczna w życiu i w filmie — wszystko to znaleździemy w Faraonie.

Początkowo nazwał Brzozowski swego czasu egipską powieść Prusa.

Poeta życia, pędzącego w cwał, życia przemijającego, a jednak trwałego, można by nazwać Prusa.

1926.

Feliks Araszkiewicz

1 K. Irzykowski, Dziesiąta muza, Kraków 1924.

2 J. St. Bystron, Wyobrażenia artystyczna B. Prusa, „Przegląd Warszawski”, 1922, nr 11.

3 Z. Wasilewski Współczesni, 1924, s. 129.

4 Z. Wasilewski, dz. cyt. s. 131.

5 Z. Wasilewski, dz. cyt. s. 132.

6 Z. Wasilewski, dz. cyt. s. 137.

7 J. St. Bystron, dz. cyt.

8 K. Irzykowski, dz. cyt.

9 K. Irzykowski, dz. cyt. s. 50.

10 K. Irzykowski, dz. cyt. s. 57.

## TELEWIZJA dla Ziemi Rzeszowskiej

(Dokończenie ze str. 9)

ności. Na szczęście udaje się nam jakoś te trudności pokonywać. Obecnie połączenie z telewizją katowicką otrzymamy radiolinią. W tym celu na górę Marcina pod Tarnowem budujemy dodatkowo mały przekaznik telewizyjny, który odbierze program z Krakowa i przekaże na Suchą Górę. Prace budowlane trwają i, jak nas zapewniają wykonawcy, łącznie to będzie gotowe na 10 dni przed 1 grudnia. W tym bowiem dniu — 1 grudnia 1962 r. — ma nastąpić na Suchej Górze pierwszy rozruch nadajnika rzeszowskiej stacji. Nadajnik ten znajduje się jeszcze w warszawskich zakładach „L-2” i mamy zapewnienie dyrektora zakładów inż. Tokarskiego, że termin uruchomienia stacji będzie dotrzymany.

Tak więc oczekiwany od dawna moment narodzin rzeszowskiej XI Muzy jest już bardzo bliski. Stanie się to dzięki ofiarności mieszkańców województwa rzeszowskiego, pracowników rzeszowskich zakładów pracy, fabryk, instytucji, przedsiębiorstw, rad narodowych, które swe nadwyżki budżetowe przekazały na ten cel, a także dzięki działalności Wojewódzkiego Komitetu Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy, który na budowę stacji telewizyjnej przeznaczył ze społecznego funduszu niebagatelną kwotę 11 milionów złotych, i dzięki poparciu naszej inicjatywy i udzieleniu wszechstronnej pomocy przez Komitet Wojewódzki PZPR, patronujący budowie.

Do słów tow. Kaczora dodałbym jeszcze... i dzięki ofiarnym wysiłkom działaczy społecznych, członków Wojewódzkiego Społecznego Komitetu Budowy Stacji Telewizyjnej, którzy nie szczędzili trudów, by SFOS-owski brylant na Suchej Górze pod Krosnem zaiskrzył się pełnią blasku, któremu na imię program telewizyjny.

Julian Woźniak

## Ceterum censeo

Z ciekawością i zadowoleniem przeczytałem artykuł p. P. B. „Czy język nasz sztywnieje?” Nareszcie i na łamach naszego pisma znalazłem sprzymierzeńca, który sięga nawet dalej ode mnie: gdy ja troszczyć się jedynie o czystość języka, on myśli już o tym, by język nie zesztyniał nie tylko w błędnych, ale i poprawnych formach. Pozwolę sobie również zabrać głos w poruszonych przez mego sojusznika sprawach, gdyż chociaż w zasadzie we wszystkim się z nim godzę, jednak dla niektórych potępionych przez niego „usztywnień” znajduję usprawiedliwienie.

Żal p. P. B. żeńskich form nazwiskowych na *-owa, -ina, -ówna, -anka*, których całkowite niemal dziś zanikanie przyjmuje się do zatwierdzającej wiadomości. Wydaje mi się, że to zanikanie wiąże się z duchem czasu, jest konsekwencją równouprawnienia i usamodzielnienia kobiet, które nie chcą być własnością mężu: Jan-owa Kopacz-owa czyli własność Jana Kpacza, jak Jan-owa Stodoła, Kpacz-owa chata czy Jan-owa marynarka. A panny nie życzą sobie, aby im przyrostkiem *-ówna* czy *-anka* wytykać, że nie są mężatkami. Przypomina mi się autentyczny wypadek, jaki miałem przed dwoma laty, kiedy to skarcono mnie (i słusznie!), gdy nakreśliwszy odpowiednio numer telefonu, zapytałem zgłaszającej się osoby: „Czy to pani Wan-

## UWAGA BIAŁYSTOK!

W związku z zawartym porozumieniem z PPK-RUCH podjęto do wiadomości, że począwszy od l.x. br. „KAMENA” będzie do nabycia w następujących kioskach: 1. Przy ul. Wesolowskiego (na przeciw Delikatessów), 2. Przy Rynku Kościuszki (obok SOT), 3. Przy ul. Sienkiewicza (za klubem MPiK), 4 i 5. Przy ul. Lipowej (obok kina Pokój i obok cerkwi), 6. W kiosku Prezydium WRN, 7. W kiosku na dworcu centralnym, 8. Przy ul. Dzierżyńskiego.



## Któż dziś pamięta o Zdzisławie Dytlu?

40 LAT upłynęło od czasu, gdy „nakładem rodziców” ukazały się dwie estetycznie wydane książeczki („Idąca fala” i „Jak we śnie”) z charakterystycznymi winiętkami Tadeusza Gronowskiego, który zdobył w tym czasie pierwsze zeszyty „Skamandra” i pierwsze tomiki skamandrytów. Ale autor, który nie mógł swymi zbiorami nacieszyć oczu, bo wydanie było pośmiertne, nie należał do twórców tego miesięcznika. Jego smutna paseistyczna poezja, bliska Młodej Polsce i tworzona na doskonałych wzorach symbolistów francuskich, nie miała nic wspólnego z witalizmem i nowoczesnością „Skamandra” i nie mieściłaby się w jego ramach.

Trudno powiedzieć, jaką drogą poszedłby dalszy rozwój poety. Zmarł tak młodo (w 1921 r.), sądząc po chłopięcej prawie twarzy na fotografii wklejonej do zbioru „Idąca fala” — nie dożył chyba dwudziestki, a jednak utwory jego, z piętyzmem wydane przez rodziców, świadczą o dużym talencie autora.

„Zwę się błędnym rycerzem Skrzydlatej Chimery”. Tak określa siebie w jednym z wierszy „Idącej fali” Zdzisław Dytel. Dusza subtelna i nadzwyczaj wrażliwa, pełna dziwnych załamania. Rozbrat ze smutkiem i cierpieniem i ustawiczne do nich powroty, jakby trudno było rozstać się z tym, co boli, a co może właśnie dlatego się ukochało. Na próżno w kunstownych tercjach zapowiada poeta, że „na zawsze już zawarł swe srebrzyste wrota smutny cmentarz, gdzie dusza (jego — przyp. mój) śniła tajemnie”. Na próżno on, tonący w mgłach księżycowej tęsknoty, on poza życiem stojący, pragnie wejść w nie, by wszzechogarniającą miłością

„Kochać słońce i księżyc,  
[wodę i obłoki,  
Krew czerwoną, tętniącą  
[w młodem, zdrowem ciele,  
Kochać świat ten beznierowy,  
[tajny i szeroki...]

by miłość tę wjeść ludziom, „mówić, że boska potęga w nich drzemie”. Na próżno chce iść „gdzieś na plac bezkresny” i „pieśń zaśpiewać” — „pean wielki, dziwny i nieznan” o „zaraniu nowego życia”. Na próżno woła: „Bądźcie jako Bogi”. Sam nie Bogiem jest, tylko biednym, cierpiącym człowiekiem, który utłudy „więcej ukochał niż wolność i duszę”. Jakże tchnąć w ludzi moc boską potrafi, skoro sam jej nie ma?

„Toute la vie est dans l'effort” powiada motto z Verhaerena — w cyklu „Wieniec z płomieni”. I właśnie twórczość Dytla to jeden tragiczny wysiłek, by wejść w życie miast marzyć o nim. Poprzez piękne tercyny na wstępie zbioru, poprzez misterne cyzelowane „Sonety bohaterskie”, sonety o sile i mocy — widać to szamotanie się poety tęsknot i marzeń, który by pragnął być poetą życia. Próżno jednak wylał „w ciemną noc bez księżycy” wszystkie swoje „izy gorzkie zatrute rozpaczą”, „studnię ciężkim (przywalił — przy. mój) kamieniem, a jednak nie może rozstać się z przeszłości bolesnym widziadłem i własnych łez stróżuje, gdyż je kochać musi”. W jednej z pięknych, na Moréasie wzorowanych, stanc powiada:

Wiem, że jest szczęście,  
[co kwietną koroną  
Do rąk wybrańców się schyla,  
A innym znaleźć go nie sądzono,  
Choć marzą o nim co chwila.

Do tych „innych” on właśnie należy. Przychodzi wreszcie miłość. Nowa powrotna fala — w stronę życia, do życia. Lecz i nowe marzenia i tęsknoty. Miłość to czysta i niewinna, pełna „nadziei radosnych” i „nadziei prze-

## KONKURS

W związku z reformą programów szkolnych, w związku z aktualnymi problemami wychowawczymi — praca Nauczyciela budzi obecnie szczególnie żywe zainteresowanie szerokiego kręgu społecznego.

Chcąc uzyskać „z pierwszej ręki” materiały na temat życia i pracy Nauczycieli, Wydział Kultury FWRN, Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie i Redakcja „Kamena”

ogłaszają konkurs pod hasłem:  
„DZIEŃ POWSZEDNI NAUCZYCIELA”

Apelujemy do Wszystkich Nauczycieli, a przede wszystkim do Nauczycieli 4 współpracujących województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego, rzeszowskiego, aby wzięli jak najliczniejszy udział w naszym konkursie.

Piszcie o trudnościach, jakie macie w pracy z uczniami i w kontaktach z rodzicami, o satysfakcji, jaką Wasza praca daje, o tym, jak układają się Wasze stosunki z otoczeniem, o dokształcaniu się, o działalności kulturalno-oświatowej, o życiu osobistym, o wszelkich Waszych troskach, kłopotach i radościach.

Prace na konkurs mogą mieć dowolną formę: relacji, pamiętnika, reportażu itp.

Nie ograniczając rozmiarów, najchętniej widzielibyśmy wypowiedzi odpowiadające 5-10 stronom znormalizowanego maszynopisu (32 linijki na kartce, margines 2,5 cm).

Prace mogą być nadsyłane w rękopisie, wolelibyśmy jednak maszynopisy.

W konkursie przewiduje się następujące nagrody:

- |                     |            |
|---------------------|------------|
| 1 nagroda —         | 1500 zł    |
| 2 drugie nagrody —  | po 1000 zł |
| 3 trzecie nagrody — | po 500 zł  |

Ponadto przyznane będą liczne nagrody książkowe.

Najciekawsze prace publikowane będą w „Kamieniu” w całości lub w fragmentach, za normalnym honorarium autorskim.

Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie możliwość zmian w podziale nagród.

Prace prosimy nadsyłać do dnia 15.XI.1962 r. pod adresem Dwutygodnik „Kamena”, Lublin, ul. Graniczna 1-c z adnotacją na kopercie: „Konkurs”.

Prosimy o podpisywanie prac godłem, z załączeniem nazwiska i adresu w osobnej, zaklejonej kopercie.

Skład Jury Konkursu podany zostanie w terminie późniejszym.

kletych”. Ta miłość mogłaby się stać drogowskazem dla zblakłego wśród manowców tęsknot poety, mogłaby być busolą na oceanie jego księżycowych marzeń. Cichą przystanią stać by się mogła dla „smutnego wędrowca”, który jest tak bardzo znudzony. Mogłaby wreszcie poetę naprowadzić w obliczu życia postawić. Tymczasem podsyca w dalszym ciągu tylko marzenia i sny o życiu. Dziwne są te księżycowe, mgliste erotyki, mające w sobie coś z smętku Verlaine'a. Te sny o najdroższej, która idzie „kwitnącym sadem jasna, uśmiechnięta”. Ten korowód „ciężkich czarnych chwil” z rzadka przesyłanych błyskawicami oczu lazurowych, w których „niby bań zasklepa” drzemie przyszłe szczęście poety. Te marzenia o ustach nie znających pieczyoty, którym obce są „początków pieczęć płomienną”. Te „godziny oczekiwania rozpaczliwie długich”, kiedy to — „nadzieja w jasny raneć, — smutek w zmierzchu porze”. I te listy, dzięki którym „złocista ulewa szczęścia bujnym strumieniem szumi w duszy”. Miłość nie wyzwoliła poety z zaczerpniętego kręgu nieuchwytnych tęsknot i marzeń. Bo może to nie miłość nawet, lecz — sen o miłości?

Poeta dochodzi do wniosku Musseta: „un souvenir heureux est peut-être sur terre plus vrai, que le bonheur”. W sonetach „Echa dzieciństwa” wspomina te niedawne moce czasu, gdy cała rzeczywistość tajemnicza rysowała się w trzech słowach: „kiedy będę duży”. Dziś jest „duży”, a zwycięstwo nie przyszło. Może by teraz zapragnął być małym, ale „dziecinne szczęście już nie wskrzesi”. „Błady Pierrrot księżycowy” musi sączyć „gorzkie zawody z marzenia kielicha”. Już „nie czeka na nic — od nikogo”. Nie pragnie „stów słonecznych ni stołkiej pieczyoty”. Gorzko powiada:

Poznałem mądrość życia.  
[Lecz sil mi nie staje  
Ni wiary, by zdobywać  
[wymarzone raje —  
W śmierć idę — w nicłość, w ciszę,  
[co jest wyzwoleniem.

Jakże tragicznie wobec tej rezygnacji brzmi motto z Henri de Régniera poprzedzające „Ostatnią podróż” — końcowy poemat zbioru „Idąca fala”: „Chciałbym mieć życie wielkie, odważne i górne”.

X. Rovay

## Z PORADNIKA dla początkujących autostopowiczów

(Dokończenie ze str. 12)

czarnym meloniku i krawacie w skośne paski.

3. Posiada laskę z kościaną gałką.  
4. Szofer (o dziwo!) jest ubrany całym „normalnie”.

5. Cadillac rozwija szybkość co najmniej 100 mil/godz. co w przeliczeniu na kilometr daje...

6. Ambasador posiada także sportowego, błękitnego Jaguara, którego przeważnie sam prowadzi.

7. Jaguara tego można często spotkać w Warszawie, w Alejach Ujazdowskich.

8. Ambasador, jako prawdziwy gentleman, jest przychylnie ustosunkowany do autostopowiczów (na Zachodzie autostop jest bardzo popularny) i chętnie zaprasza ich do swego wozu.

9. Ambasador przebywa jednorazowo odległości nie krótsze niż 500 kilometrów.

10. Przeważnie w kierunku Sopotu albo Zakopanego.

11. Ambasador nie jest zbyt wymagający, ale lubi, kiedy opowiedzieć mu coś nieośmieszającego. Można tak: „Ze szlętanin polone... (Nie nie szkodzi, że po francusku, ambasador zna doskonale wszystkie języki!) „Mon gran petete franse... Tre żoli automobil... Awst! Ooooh... Se Kadillak?... Uj, ul, zapraw franse sek an... Boku żoli Kadillak mesje ambasader!”

Tyle o ambasadorze. W wypadku, kiedy jedziemy z zagranicznym turystą, trzeba go ubrać raczej po sportowemu (melonik, nie!), dodać ciemne okulary „Samco” i wsiąść do trochę mniej eleganckiego samochodu...

„Osoby na odpowiedzialnych stanowiskach” gustują przeważnie w „Wol-gach” z „własnym” kierowcą. W odróżnieniu od przeciętnych śmiertelników palą głównie „Mentolowe” albo lekkie papierosy z ustnikami. Niekiedy „Kazbeki”. W czasie podróży zachowują dostojne milczenie, co jest o tyle dziwne, że siedzą wcale nie dosłownie — w samym kąciu kanapy. Na szosach pojawiają się raczej rzadko.

Mirosław Derecki

## KSIĄŻKI NADESLANE

Do Bose Heyward — Pogry, przełożyła Zofia Kierszys

Fryderyk Schiller — Wilhelm Tell, dramat, przełożył Alfred Kowalkowski

Ruth Kraft, Wyspa bez światła — przełożyła Izabella Czermakowa

Anatol Lunaczarski — Szkice literackie, przełożył Wiktor Woroszyński

Blaise Cendrars — Poezja — redagował Adam Ważyk

Egizze Czarenc — Poezje wybrane, redagował Andrzej Mendilian

Fryderyk Schiller — Ballady, wybrał i wstępem opatrzył Leopold Lewin

Tomasz Hardy — W pewnym miasteczku, przełożyła Jadwiga Kornilowiczowa

Wkrótce na łamach „Kamena” zaczną ukazywać się oczekiwane przez Czytelników „Listy o poezji” Anny Kamińskiej.

Z TEATRU IM. J. OSTERWY

Po opuszczeniu Lublina przez Danutę Nagórską rolę Niny w „Maskaradzie” Lermontowa gra również z dużym powodzeniem Zofia Bajuk. Na zdjęciu scena z aktu II: Nina (z prawej strony) i Baronowa Sztral (Maria Szczecińska).

